WYCIECZKA

DO OBOZU DON KARLOSA.

(Dokończenie).

O ćwierć mili od Estelli jest wielki monaster Hirache (Iracze) z kościołem w romańskim, stylu założony jeszcze przez Benedyktynów w 8mym czy 9tym wieku: jedno z tych najdawniejszych ognisk cywilizacyjnych chrześciańskiej ery, których w swoim czasie Europa liczyła około 60000, a które stworzyły chrześcijańską Europę. Do Hirache wiąże się mnóstwo najpiękniejszych tradycyj. Opactwo to było przez długi czas niejako duchową metropolą królestwa Nawarry, słynącą uczonością zarówno jak i świętobliwością mnichów. W XVtym wieku zostało Hirache powiększone wspaniałemi budowami, i było tam wielkie kolegium sławne na całą Hiszpanię, rozszerzone i później jeszcze na wielki rozmiar a mieszczące w sobie głównie akademię medyczną.

Kiedy w r. 1837 konstytucyjnym ukazem zostały wypędzone w całej Hiszpanii wszystkie męzkie zakony, a tylko żeńskie zachowano, Hirache opustoszało i już prawie poszło w ruinę. Karliści zająwszy przed dwoma laty Estellę i okoliczne wzgórza wzięli i Hirache pod swoje panowanie. Za staraniem stowarzyszenia ku niesieniu pomocy rannym pod na-

zwą *La Caridad*, którego przełożoną jest sama Donna Magueritta, zrestaurowano wspaniałe gmachy, (a i odnowienie kościoła już jest na ukończeniu) i obrócono je na główny Karlistowski szpital dla rannych, mieszczący wygodnie przeszło 600 łóżek. Hirache jest zarazem centralnym punktem Karlistowskiej służby ambulansowej.

Pan Olozabal zaraz pierwszego dnia mego pobytu w Estelli zawiózł mię do Hirache, stanęliśmy przed dużą bramą klasztoru strzeżoną przez inwalidów, i weszliśmy na pierwsze podwórze z małym ogródkiem i studnią na środku, przechadzali się tam ranni rekonwalescenci, wielu z nich o kulach, zdrowsi grali w piłkę, ulubiona to zabawa w tych krajach, nawet w każdej najmniejszej wiosce jest arena do gry w piłkę. Pierwszy dziedziniec zabudowany jest w prostym koszarowym stylu, ztąd dopiero po różnych schodach kurytarzami krużgankami błądząc ciągle i szukając pana *de Bourgade* dyrektora szpitalu i zarazem szefa ambulansów, zaszliśmy na drugi dziedziniec klasztorny przepysznej arckitektury z XV wieku. Prawdziwy to poemat architektoniczny ze średniowieczną mistyką i symboliką szczegółów, w ramach o głównych zarysach konturów i profilów budzącego się już odrodzenia. Renaissansowe filary arkad obszernych krużganków uwieńczone są girlandami misternej roboty hautreliefów, scen z historyi świętej, tak że cały stary i nowy testament wpleciony jest w kapitele filarów w około dziedzińca. Z tych filarów wyrastają również z ponad zwykłych gzemsów, krzyżowego sklepienia gotyckie żyły, puszczające jakby szypułki, lub winne latorośle na których niby kwiat lub owoc osadzone są w sklepieniu medaliony cudnej roboty, portrety nasławniejszych Papieży, Ojców, Doktorów kościoła, opatów z Hirache, a każda twarz innym charakterystycznym wyrazem jest skończonem dla siebie dziełem sztuki.

W jednym rogu krużganku jest brama do kościoła, weszliśmy doń, i tu dopiero p. Olozabal znalazł swego przyjaciela p. de Bourgade, z którym mię zaraz zapoznał, również jak i z towarzyszem jego Sir Eringtonem, Irlandczykiem, architektem kierującym odnową kościoła. Odydwaj ci panowie są Kawalerami Maltańskimi, prawdziwie rycerskie typy, rosłe silne postacie, udźwignęliby i najcięższą zbroję, de Bourgade przystojny brunet z błyszczącemi oczami, Sir Erington z rudą

brodą trochę zezowaty i z angielska francuskim językiem łamiący, obydwaj w szarych bogato szemerowanych mundurach wysokich butach i średniowiecznych ciemnofioletowych beretach na głowie, pośród łuków i filarów romańskiej świątyni rzeczywiście robili wrażenie krzyżowców, z których jeden wyraźnie przybył z kraju Franków, drugi z wyspy wiecznie zielonej.

Zwiedziliśmy zaraz kościół którego prześliczne, spokojne linie i naiwne, pełne prostoty, oryginalności i symboliki chrześcijańskiej ornamenta romańskiego stylu z 9go wieku niedawno dopiero odsłonione zostały z pod grubej warwstwy gipsatur barbarzyńskiego barocco i błyszczą teraz świeżą białością jak przed lat tysiącem. P. de Bourgade który choć nie jest architektem z profesyi widocznie bardzo zna się na sztuce, i o pierwszych artystach francuskich mówił jak o swoich przyjaciołach osobistych, opowiadał mi z jaką radością pod blichtrem napuszystych form zepsutego smaku odkrywali z p. Eringtonem szczegół za szczegółem najczystszej piękności architektonicznej; „oby nam się tylko udało, dodał w końcu p. de Bourgade, to samo zrobić w całej Hiszpanii co w tej świątyni, bo my Karliści niczego więcej nie pragniemy, tylko z pod twardej skorupy nowożytnego barbarzyństwa, gorszej od tego stucco, z pod panowania liberalnego fałszu i frazesu wydobyć oczyścić i ustalić na świecie piękny gmach prawdziwie chrześcijańskiego królestwa.“

Wyszedłszy z kościoła zwiedziliśmy dokładnie owe krużganki, którym poprzednio tylko pobieżnie się przypatrywałem. Na tym dziedzińcu klasztornym w Hirache istotnie oddycha się atmosferą wielkiego dzieła sztuki, w tak oryginalny a skończenie piękny sposób przetopione są tu ciepłem chrześcijańskiego ducha motywa pogańskiej i chrześcijańskiej sztuki w jednolitą kompozycyą architektoniczą... i nawet nie można wiedzieć komu się za to wdzięczność należy,... nazwisko mistrza utonęło w niepamięci.

Do towarzystwa naszego przyłączył się także młodszy brat p. de Bourgade, dwudziestoletni młodzieniec, który korzystając z wakacyi przyjechał z Francyi na kilka tygodni do Hirache, żeby się przypatrzeć karlistowskiej wojnie, i niczego bardziej nie pragnął jak zobaczyć bitwę. Trafił jednak

niestety na dosyć spokojne czasy, bo zwłaszcza koło Estelli nic się wówczas nie działo; codzień jednak chodził na wieżę kościoła by z tamtąd przez doskonałą perspektywę obserwować jedyny w okolicy Estelli pozostały fort nieprzyjacielski na *Mon Cristobal;* i teraz więc namówił nas żeby wyjść z nim na wieżę i zobaczyć nieprzyjaciela. Uzbrojeni perspektywami wyszliśmy na dosyć wysoką Campanillę. Z krajobrazem nawarskim, który wczoraj wydał mi się tak monotonny, dziki i bezbarwny pogodziło mię słońce i pogoda. Ma i ten kraj swoją piękność, tylko nie malowniczych trzeba tu szukać efektów, lecz plastycznych i architektonicznych, w bogactwie linij i profilów piętrzących się skał, w rytmie perspektywicznych oddaleń od siebie przedmiotów na pierwszym, drugim, trzecim planie, a wszystko na ziemi góry, skały i ludzkie budowle: błyszczą pod wyniosłym namiotem jaskrawego firmamentu jakby kute ze srebra lub lane z bronzu albo spiżu.

Na jednej dość odległej górze tam gdzie już wolnym okiem niczego dojrzeć nie było można, przez lunetę widzieliśmy dokładnie dobrze zbudowany i kilkoma wałami szańców opasany fort alfonsistowski. Był to wielki błąd jen. Mendiri w poza przeszłym roku w jesieni, pomimo że było w jego mocy zająć całą górę Mon Cristobal, pozwolił usadowić się na niej nieprzyjacielowi, dając mu przez to doskonały punkt operacyjny przeciw Estelli. Jen. Mendiri zapewne już w tedy cierpiał początki choroby umysłowej na którą w krótce potem zapadł tak że służbę opuścić musiał. Zresztą na wszystkich prawie wynioślejszych punktach w koło Estelli i Hirache, Karliści pozakładali obronne pozycye: Monjardin, Mte Jurra, l' Alto Rodondo, San Juan, Apalas, San Carlos, Urdax, Muru, etc., oto same Karlistowskie warownie, które w około z wieży widzieć można było, a i na Mon Cristobal, na przeciwległym stoku góry trochę niżej są karlistowskie szańce i okopy.

Następnie p. de Bourgade oprowadził mię po szpitalu. W infirmeryach nie zatrzymywaliśmy się, tylko cichutko na palcach przeszliśmy przez jednę wielką salę w której leżało kilku ciężko rannych. Zato magazyn szpitalowy zwiedziliśmy szczegółowo. Pan de Bourgade pokazywał mi wszystkie przybory do opatrywania rannych najbardziej udoskonalone i tłomaczył ich użytek, niektóre były jego własnego wynalazku,

przenośne apteki w kufrach i w tornistrach, mieszczące w sobie wszystko co na razie dla rannego może być potrzebne, szkatułki z narzędziami chirurgicznemi, różnego rodzaju nosze, lektyki i krzesła przenośne tak zbudowane że jeden człowiek może wygodnie wziąść rannego na barki i unieść z placu boju całe stosy szarpi i bandaży, magazyn bielizny tak artystycznie w rulonach w różne figury poukładanej, że ma się wrażenie jakby to było jakie muzeum; siostry Miłosierdzia celują w tej sztuce układaniu bielizny. A wszystkiego obfitość wielka wszędzie czystość i wzorowy porządek.

Służba ambulansowa u Karlistów jest przeważnie piesza i tak z organizowana, że asystuje bitwie i w największym ogniu chwyta rannego w swoją opiekę w tej samej chwili kiedy dostał postrzał, by go zanieść na miejsce, gdzie go odpowiednio opatrzeć można. Ambulansowi nie mniej więc narażają się od żołnieży, i służba ta wymaga nawet większej odwagi niż gdy się idzie zbronią w ręku naprzód, w szale wojennej gorączki.

Szpital w Hirache jest jak już wspomniałem głównym domem instytucyi zwanej „La Caridad“ zostającej pod prezydencyą Donny Margueritty. Jeszcze kiedy Don Carlos z żoną przebywał w Genewie, nim z bronią w ręku wystąpił jako pretendent do korony hiszpańskiej, gromadziło się koło nich grono najbliższych przyjaciół, między nimi i p. de Bourgade i p. Olozabal byli tamże częstymi gośćmi. I wtedy to przyszło im myśl w najciaśniejszym kółku, żeby w przeciwieństwie do tak zwanej „Ligi Pokoju“ kreacyi Internacyonala, mającego w Genewie jeden z głównych ponktów zbornych, utworzyć stowarzyszenie także międzynarodowe, lecz na czysto katolickich zasadach i podstawach rodzaj zakonu, któryby niełudząc się utopią Ligi Pokoju: że wojny kiedykolwiek ustaną, przyjął je jako fakt niedający się z dziejów ludzkości niczem wyeliminować, i wziął sobie za cel tylko złagodzenie losu wojną dotkniętych, mianowicie rannych. P. de Bourgade założył sobie przytem cel uboczny, który w przyszłości na rozwój stowarzyszenia wielki wpływ wywrzeć może. Będąc sam Kawalerem Maltańskiem i widząc z bólem jak rycerski ten zakon ledwie że wegetuje, bo kawalerowie po większej części na to tylko doń się garną, aby w pięknym mundurze mieć wstęp

na wszystkie dwory, zasiać piersi dekoracyami, być wszędzie mile widzianym i otoczyć się pewną aureolą, powziął myśl wraz z kilkoma innymi kolegami, aby t. z. Kawalerów Maltańskich przynajmnicj w części z reformować [1]), t. j. sprowadzić ten zakon znowu na dawne podstawy, odżywić w nim średniowiecznego ducha rycerzy Św. Jana, zająć członków jego czynną służbą. A że i podczas wojen krzyżowych Johanici za cel swój główny mieli pielęgnowanie rannych, postanowili więc zorganizować się w ambulansową służbę najodpowiedniejszą wymaganiom dzisiejszego sposobu prowadzeniu wojny, przyjmując do swego grona wszystkich duchownych i świeckich którzy do tej służby czują powołanie. Początkowo praktykowali oni w szpitalach później po pierwszy raz czynnie wystąpili jako stowarzyszenie „La Charité“ podczas wojny francuskiej a raczej podczas komuny, pełniąc ciężką służbę na ulicach Paryża, przyczem tak się w swoj zawód wprawili i tyle porobili ulepszeń w przyborach potrzebnych do niesienia pomocy rannym na samymże placu boju, iż mogli wziąc udział na Wystawie Wiedeńskiej w bogatym oddziale tego rodzaju wynalazków i za niektóre wyroby swoje pierwsze otrzymali nagrody. Gdy wybuchła karlistowska wojna, stowarzyszenie La Charité przeniosło działalność swoją do Hiszpanii, przemieniwszy nazwę na hiszpańską: *La Caridad, Asociacion Catholica para Socorro de Heridos*, godłem tej asocyacyi jest krzyż maltański na wizerunku serca Jezusowego, na chorągwi zaś ma ono Pannę Najświętszą z Lourdes. Od 29go Września 1873 r. La Caridad główną siedzibę swoją ma w Hirache, i do obecnej chwili stowarzyszenie to bardzo się wzmogło i rozszerzyło ma już prócz Hiracze 7 mniejszych domów rozrzuconych na całej

---

[1]) Duch ten reformy zakonu kawalerów Maltańskich obudził się i w szerszem kole, jak świadczy broszura p. t. *L'orde des Chevaliers de Malte, son passé, son présant, son avenir par M. Newliński*, która niedawno wyszła w Wiedniu. Myśli w niej zawarte w niejednym punkcie spotykają się z projektami p. de Bourgade, który je już poczęści w życie wprowadził, p. Newliński obiecuje jednak dopiero wtedy szybki rozwój i postęp tego zakonu, gdy kwestya wschodnia dojrzeje i doprowadzi do wojny europejskiej ze wschodem.

przestrzeni karlistowskich krajów, a zacząwszy prawie z niczem rozporządza już teraz stałemi dochodami 30000 fr. miesięcznie nie licząc nadzwyczajnych datków. Personal szpitalu w Hirache jest imponujący, dochodzi bowiem do liczby 100 osób. Prócz dyrektora p. de Bourgade p. Eringtona i kapelana, jest dwunastu urzędników zajętych administracyą, 6ciu doktorów medycyny i 12 chirurgów pomocników. Z doktorów dwóch jest zakonników, Niemców, ze zakonu St. Jean de Dieu, poznałem ich obydwóch, jeden skończył akademię medyczną we Wiedniu drugi w Gratzu, przysłała ich zapewne z Gratzu matka Don Karlosa, obydwa bardzo przyjemni młodzi ludzie, ucieszyli się niezmiernie że mogli ze mną rozmawiać po niemiecku bo od czasu jak są w Hiszpanii t. j. od roku nigdy im się to jeszcze nie trafiło. Między pomocnikami jest także czterech braciszków z tego samego zakonu St. Jean de Dieu. Prócz tego jest dziesięć Sióstr Miłosierdzia zajętych bielizną, służbą w salach, pielęgnowaniem chorych i kuchnią; 30tu kilku infirmerów, wiele innej służby i t. d. Chorych było podczas mojej bytności tylko 300 kilkudziesięciu, bywały jednak czasy, gdzie ich było przeszło sześćset.

Niezmiernie wdzięczny byłem panu de Bourgade za te wszystkie szczegóły i za dokładne zaznajomienie mię z tą tak piękną instytucyą, której on jest duszą. We wszystkiem znać jego rękę, i wszyscy go tam lubią i poważają, nazywają go po prostu *Don Guilhelmo.* Bo też niepodobna go nie polubić, już na pierwsze wejrzenie jest bardzo sympatyczny, a cóż dopiero poznawszy go bliżej, widząc jak łączy w sobie prawdziwą wykwintność dworaka z energią i dzielnością w praktycznem życiu, jak w całem słowa tego znaczeniu jest *the right man in the right place.*

Gdy się dowiedział p. de Bourgade iż muszę czekać na powrót Don Karlosa, i że prawdopodobnie jeszcze kilka dni wypadnie mi zabawić w Estelli, zaproponował mi żebym się na ten czas sprowadził do Hirache, i zarazem oświadczył mi się z gotowością udzielania mi wszelkich informacyj jakich zażądam i na jakie go tylko stać będzie. Mając już najęte mieszkanie w Estelli, nie przyjąłem gościnności w klasztorze, o tyle jednak z niej korzystałem, iż poprosiłem p. de Bourgade, żeby mi pozwolił co dzień przychodzić do Hirache.

Przeznaczono mi więc zaraz jedną celę, która zawsze dla mnie była otwartą, i gdzie codzień rano przychodziłem jak do siebie nie potrzebując nikogo inkomodować, a w wolnych chwilach, przed i po południu p. de Bourgade choć bardzo był zajęty przychodził do mnie, i zamknąwszy się ze mną w celi czasem na parę godzin opowiadał mi różne epizody, a w krótkości nawet całą historyę karlistowskiej wojny, której był czynnym świadkiem od początku, dzielił się zemną swemi spostrzeżeniami, odpowiadał na stawiane mu przezemnie kwestyc. Z celi tej z Hirache najmilsze więc wywiozłem wspomnienia, bo p. de Boorgade choć sam zaangażowany w sprawie Don Karlosa, jako nie rodowity Hiszpan, z góry spogląda na wypadki, nie unosi się zbytnim zapałem, lecz spokojny i trafny sąd ma o wszystkiem; przy tem ma ten francuzki dar jasnego opowiadania i zwięzłego przedstawienia każdej kwestyi, czego na próżno szukałem u Hiszpanów, ich relacye najczęściej gubiły się w szczegółach i prawie zawsze miały coś mglistego, może dla tego że w obcym dla siebie języku tłómaczyć mi się musieli. P. de Bourgade zawsze jasno krótko dobitnie i szczerze na wszystko mi odpowiadał, to też od niego bardzo wiele nauczyć się mogłem. Rezultatem tych miłych pogadanek w Hirache dopełnionym później innemi jeszcze z różnych źródeł czerpanemi informacyami pozwolę sobie podzielić się tutaj z łaskawymi czytelnikami.

Jak wiadomo Karlizm o wiele starszy jest od dzisiejszego Don Karlosa. Już przed nim dwie generacye tej gałęzi Bourbońskiego domu pod sztandarem Karlosa V. i Karlosa VI. dobijały się o tron hiszpański, który Ferdynand VII. w r. 1833 oddał córce swojej, trzyletniemu dziecku pod regencyą matki Maryi Krystyny, obszedłszy tym sposobem sankcyę pragmatyczną założyciela tronu Burbonów w Hiszpanii Filipa V. z r. 1713, która choć nie wprowadziła do Hiszpanii co do sukcesyi prawa Salickiego, wyraźnie jednak orzekała, iż kobieta tylko w braku męzkich agnatów na tron wstąpić może. Choćby nawet przypuścić, że przysłużało Ferdynandowi do tego prawo, żeby z pominięciem młodszej linii oddać tron ambitnej żonie swojej, i nieletniemu dziecku, zawsze było to bardzo nieszczęsne postanowienie, bo zostawiwszy kraj pod rządem

słabych kobiet, rzucił go temsamem na pastwę nurtującej go już rewolucyi, która przez trzydzieści z górą lat za rządów Donny Izabelli tak się w Hiszpanii wzmogła i zakorzeniła, że już teraz bardzo trudna z nią sprawa, zwłaszcza że i demoralizujący z góry przykład złego życia królowej, gdy doszła do pełnoletności, rozpuścił jeszcze bardziej wodze wszystkim politycznym i niepolitycznym namiętnościom.

Wojna domowa która zaraz po śmierci Ferdynanda VII. w r. 1833 wybuchła, miała wówczas zupełnie odmienny charakter od dzisiejszej. Pierwsza siedmioletnia karlistowska wojna była czysto dynastyczną, jakoby walką białej i czerwonej róży, w której może na dnie zcierały się i głębsze pryncypia, nie było to jednak na zewnątrz widoczne, bo była to przeważnie i wyłącznie prawie wojna sukcesyjna dwóch linij tego samego domu. W historyi została po niej tylko pamięć bohaterskich zapasów w Amescoas, w Bilbao, godnych może lepszej sprawy, a historyk owych czasów choć karlista, Carlos de Bonilla zarówno podnosi jako wielkich bohaterów, wodzów z jednej jak i z drugiej strony, Zumalacarreguj Zariateguj, Cabrera i Elio, równie wielcy są u niego jak Izabeliści Cordova, Diego Leon, Espartera.

W innych zupełnie warunkach wystąpił dzisiejszy Don Karlos VII. na widownią dziejów w r. 1868. Rewolucya hiszpańska dojrzała; zwrot Donny Izabelli w ostatnich latach panowania ku lepszemu porządkowi rzeczy, ku systemowi rządzenia na prawdziwszych monarchicznych podstawach, z pomocą ministrów Candida Nocedala i Gonzalesa Bravo, przyspieszył katastrofę pierwej już przez dawnych faworytów królowej przygotowaną. Bo to Prim i Serrano pogrzebali tron Donny Izabelli. „Precz z Burbonami“ było okrzykiem rewolucyi w Cadyxe i pod Akoleą, gdzie wojska królowej przez Serrana zostały pobite. Zerwane zostały z obaloną monarchią wszelkie tradycyjne nici, a na tej *Tabula Rasa* napisano: „Wszechwładztwo ludowe“. Prim i Serrano chwycili najwyższe władze. Kortezy jako nowa Konstytuanta ogłosiła wprawdzie Hiszpanię za monarchią, ale był to właśnie najsroższy policzek zadany monarchicznej idei, rozpisano bowiem formalny konkurs na posadę hiszpańskiego króla „z woli narodu“. Prim jak to zaświadczają ci co go bliżej znali, na to

chciał ugruntować nowy tron w Hiszpanii w imię wszechwładztwa ludu, aby później samemu go zająć, a był to człowiek tej siły i miary, że byłby prawdopodobnie ambitne zamiary uwieńczył koroną na głowie swojej, gdyby rywalizacya ze zręcznym ks. de la Torre nie była temu w drodze stanęła.

Mało krwawą była wprawdzie początkowo rewolucya w Hiszpanii, niemniej przeto w zasadzie była radykalną, zwłaszcza wziąwszy na uwagę wyjątkowe stosunki hiszpańskie. Usunięto z konstytucyi zasadniczej artykuł o hiszpańskiej jedności religijnej, ogłoszono tak zwaną wolność wyznań, nie płacono pensyj księżom ani Biskupom, a ostentacyjnie zakładano protestanckie kaplice po różnych miastach, chcąc zburzyć do reszty tamę położoną reformacyi w Hiszpanii silniej niż gdziekolwiek indziej przez Śgo Ignacego z Loyoli.

W takiej to chwili zupełnego bezkrólewia, na pochyłości prowadzącej do zupełnej anarchii była Hiszpania, kiedy po pierwszy raz do niej i do całej Europy odezwał się Don Karlos VII. Dla Karlistów kilka poprzednich lat od śmierci Karlosa VI. w r. 1861, były jakby czasem rekolekcyj. Ojciec dzisiejszego Don Karlosa, Don Juan de Bourbon, młodszy brat Karola VI, i spadkobierca po nim pretensyi do Korony hiszpańskiej, niegodnie reprezentował sprawę, prowadząc gorszące życie i afiszując liberalne przekonania. Synowie jego jednak bardzo starannie przez świątobliwą matkę Donnę Maryę Beatryczę, rodzoną siostrę ks. Chamborda wychowywani, ratowali honor domu, i lepszą mu rokowali przyszłość. To też koło nich garnęli się dawni stronnicy karlizmu, przyjaciele i weterani pierwszej karlistowskiej wojny. Sędziwy jenerał Ellio, zmarły przed paroma tygodniami, kształcił Don Karlosa w wojennym rzemiośle. Młody książę celuje we wszystkich ćwiczeniach ciała, jeździ konno, strzela i włada szpadą wyśmienicie, i jest zamiłowany do wojskowego stanu. Prócz tego zaś odebrał gruntowne wykształcenie umysłowe mianowicie przez historyczne i prawnicze studya, nie mówiąc już o dobrych katolickich zasadach i prawdziwej pobożności wszczepionych mu od dzieciństwa przez matkę, która później wstąpiła do zakonu i jest teraz Klasztorze Karmelitanek w Gratzu. Kiedy jeszcze mieszkała z synami w pałacu swoim w Wenecyi przy *Canale Grande,* naprzeciwko w pałacu ks. Chamborda osiadła księ-

żna Parmeńska z córką Donną Marguerittą, której wnet wpadł w oko piękny kuzynek Don Karlos, a i jemu nie była obojętną choć nie piękna, ale dowcipna, rozumna, pełna energii i wyniosłych uczuć kuzynka. Młodzi państwo więc mieszkając vis-á-vis pod poetycznem niebiem uroczej Wenecyi, przerzucili wnet do siebie nawzajem przez Canale Grande nowe *Ponte dei Sospiri* i wkrótce się pobrali (w r. 1867). W jakiś czas potem młoda para zamieszkała w Genewie i tu właśnie w jednym z głównych ognisk europejskiej rewolucyi jakby przez przeciwieństwo powstało pełne żywotności centrum katolickiej reakcyi. Genewa była siedzibą wydawnictwa pisma *Correspondence de Genève*, dyplomatycznego organu katolickiego na całą Europę, a salon Donny Marguerity gromadził nietylko karlistów, legitymistów hiszpańskich, ale i różne znakomitości z katolickiego obozu z całej Europy. Odżywić w dzisiejszych czasach choćby jedno w Europie prawdziwie chrześcijańsko-katolickie królestwo, w przeciwieństwie do narzuconego całemu światu rewolucyą antichrześcijańskiego despotyzmu liberalnego, to pragnienie które wszystkim było wspólne, sympatycznie zwracało oczy na Hiszpanią i na Don Karlosa, na ten kraj, który choć także znurtowany rewolucyą, w masie narodu jeszcze może najwięcej w Europie zachował gruntu chrześcijańskiego i jedności prostoty i szczerości wiary, na ten naród który wśród dzisiejszego w filozofii i w polityce powszechnego rozkładu umysłowego potrafił wydać dwóch po de Maistrze najpotężniejszych najgłębszych politycznych myślicieli katolickich naszego wieku: Balmesa i Donoso Corteza, na tego młodego pretendenta wreszcie, Don Karlosa, który wśród grożącej Hiszpanii nowej burzy rewolucyjnej, w szlachetnej ambicyi niczego bardziej nie pragnął, jak być swoje ojczyzny odnowicielem, z pomocą Bożą restauratorem jej wewnętrznego politycznego i społecznego porządku na podstawach katolickiej wiary i monarchicznej królewskiej tradycyi.

W takiej to atmosferze dojrzewał Don Carlos do swojej przyszłej roli, to też katastrofa wrześniowa z r. 1868go nie zastała go nieprzygotowanego, miał on już gotowy w gronie światłych przyjaciół wyrobiony, dyskusyą i studjami nad historyą i konstytucyą hiszpańską ugruntowany system i program polityczny na swoją trudną misyą, z którą niebawem miał

czynnie wystąpić. Przemyślana była również i droga, którą krok za krokiem rozważnie zbliżać się miał do zamierzonego celu, torowali mu ją w opinii publicznej naprzód znakomici publicyści otaczający dom jego, jak Don Aparici Guy Jarro, broszurami dziennikami i ulotnemi pismami. Mianowicie broszura Apariciego *El Rey* która po pierwszy raz stylem wykwintnym i prostym wyłuszczyła podstawy uprawnienia Don Karlosa do objęcia tronu hiszpańskiego, i znaczenie jego pretendentury, wielką zrobiła w Hiszpanii senzacyę tak w kołach mu przyjaznych jak i u nieprzyjaciół.

Zaraz po ucieczce Donny Izabelli z Hiszpanii, Don Juan de Bourbon abdykował na rzecz swego syna Don Karlosa, poczem tenże wystósował do wszystkich dworów europejskich odręczne pismo następującej treści: „Moje urodzenie i stan obecny Hiszpanii sprawiają iż czuję się w obowiązku zawiadomić Jego król. (czy Ces. Mość, według tego do kogo list był adresowany) o abdykacyi Ojca mego na rzecz moją. Jeżeli Bóg i okoliczności doprowadzą mię do hiszpańskiego tronu, usiłować będę pogodzić lojalnie instytucye pożyteczne naszej epoki z temi które przeszłość nam przekazała jako nieodzowne, polecając Kortezom wolno wybranym trudne i wielkie zadanie wyrobienia dla mojej kochanej ojczyzny konstytucyi, która będzie, mam nadzieję, zarazem hiszpańską i ostateczną. Od dnia w którym to szczęście mię spotka, zawiążę z Jego król. M. jak najściślejsze stosunki osobiste i narodu mego z Jego narodem.“

W kilka miesięcy później napisał Don Karlos do brata swego, będącego podówczas w Rzymie oficerem Żuawów papiezkich list, który zawiera najwymowniejszy, najzupełniejszy program tego co zamierzył swojem wystąpieniem. P. de Bourgade polecił mi bardzo ten dokument, jako najczystsze źródło do zapoznania się z dzisiejszą ideą karlizmu, obiecał mi go nawet dać do przeczytania ze swoich papierów, później jednak o tem zapomniał. Znalazłem jednak list ten niejednokrotnie już drukowany po różnych pismach i podaję go tu w całości, bo zdaje mi się że nie był nigdzie ogłoszony w polskim przekładzie i polskiemu kołu czytelników nie jest dotąd znany, a do zrozumienia i wyrobienia sobie sądu o sprawie Don Karlosa niemal koniecznie potrzebny.

„Z broszur i dzienników, pisze Don Karlos, mogła Hiszpania dostatecznie poznać usposobienia i zasady moje jako człowieka i króla. Jednakowoż ulegając powszechnym i natarczywym nawet żądaniom dochodzącym mnie od wszystkich partyj półwyspu, piszę ten list w którym odzywam się nietylko do rodzonego brata lecz do wszystkich Hiszpanów, którzy także są moimi braćmi.

Nie mogę drogi mój Alfonsie przedstawiać się Hiszpanii jako pretendent do korony, lecz muszę wierzyć i wierzę, że korona hiszpańska już spoczywa na mej głowie mocą świętego prawa włożona. Urodziłem się z tem prawem, które jest dla mnie zarazem świętem zobowiązaniem, pragnę jednak by prawo to zostało mi zatwierdzone miłością mego narodu. Moją powinnością zaś jest poświęcić temu narodowi wszystkie moje myśli i wszystkie moje siły, wybawić go lub umrzeć.

Było by to prawie naiwnością jeszcze zapewniać, że pragnę być królem Hiszpanii a nie chcę być królem jednej partyi, bo któryż człowiek godny królowania zadowolnił by się być królem partyi. Już temsamem poniżył by się, zstąpiłby z tej wyżyny w której majestat panuje, i dokąd nie dochodzą niskie i nędzne intrygi. Nie chcę, nie mogę być królem chyba wszystkich Hiszpanów, żadnego nie odpycham, ani tych nawet, którzy się nazywają memi nieprzyjaciółmi, gdyż król niema nieprzyjaciół, wołam do nich wszystkich nawet do najbardziej zbłąkanych, odzywam się do ich serca w imieniu ojczyzny. Chociaż nie potrzeba mi pomocy wszystkich do tego, aby wstąpić na tron moich przodków, współdziałanie wszystkich będzie mi potrzebne, aby ugruntować na silnych i niewzruszonych fundamentach rządy państwa, i dać mojej ukochanej Hiszpanii dobroczynny pokój i wolność prawdziwą. Kiedy myślę nad tem co czynić wypada żeby osiągnąć cel tak wysoki, wielkość zadania przejmuje bojaźnią serce moje. Wiem jednak, że mam gorące pragnienie przedsięwziąć go, silną wolę, by go spełnić, nie ukrywając sobie przytem, że trudności są niezmierne, i że były by nie do przezwyciężenia bez pomocy bezstronnych doradzców najuczciwszych z całego królestwa, a przedewszystkiem bez współdziałania samegoż królestwa przez Kortezy, w których reprezentowane być mają wszystkie żywotne siły i konserwatywne żywioły. Z temi Kortezami chcemy nadać Hiszpanii

konstytucyę która, jak to już raz wypowiedziałem w liście moim do panujących Europejskich, będzie hiszpańską i ostateczną.

Razem bracie mój robiliśmy studya nad historyą nowożytną zastanawiając się nad jej wielkiemi katastrofami, które są nauką dla królów, a karą dla narodów, razem także zastanawialiśmy się nad tem i poznawaliśmy, jakie wiek każdy przynosi ze sobą nowe wymagania uprawnione i naturalne pragnienia.

Dawna Hiszpania potrzebowała wielkich reform nowa przeszła głębokie wstrząśnienia. Wiele zburzono, mało zreformowano. Dawne instytucye zamarły, wiele z nich nie dadzą się odżywić. Próbowano stworzyć natomiast nowe, i wiele z nich jutra nie doczekały. Pomimo że tyle robiono, wszystko prawie jest do zrobienia. Wielkie dzieło przedsięwziąć wypada, ogromną restauracyę socyalną i polityczną: wznieść w tym kraju nieszczęśliwym, na gruncie, którego doskonałość wiekami jest wypróbowaną, gmach fundamentalny, w którym by było miejsce dla wszystkich uprawnionych wymagań i interesów, i dla wszystkich opinij rozumnych.

Nie mylę się mój bracie zapewniając Cię, że Hiszpania pragnie i łaknie sprawiedliwości, że czuje konieczną i pilną potrzebę rządu, który by miał godność i energią, był sprawiedliwym i uczciwym, i że tęskni za panowaniem niewzruszonego prawa, któremu wszyscy wielcy i mali poddać się powinni.

Smutne wypadki zaszły w Hiszpanii pośród rewolucyjnych zamieszek, ale po nad temi wypadkami górują konkordaty które trzeba święcie szanować i zachowywać.

Naród hiszpański nauczony bolesnem doświadczeniem pragnie prawdy we wszystkiem, chce, żeby jego król był rzeczywistym a nie malowanym królem, żeby Kortezy były Juntą uczciwą i spokojną reprezentantów narodu niezawisłych i nie przedajnych, a nie zgromadzeniem tłumnem i bezpłodnem deputowanych urzędników, lub deputowanych kandydatów do urzędów, większości służalczych, i mniejszości niesfornych.

Naród hiszpański lubi decentralizacyę; zawsze ją lubił i ty wiesz dobrze mój drogi Alfonsie, że jeżeli spełnią się moje pragnienia, wtedy o ile duch rewolucyi chce prowin-

cye Baskie zasymilować z innemi prowincyami hiszpańskiemi, o tyle my te wszystkie inne prowincye zrównamy w ich wewnętrznych urządzeniach z temi szczęśliwemi i szlachetnemi prowincyami. Chcę żeby municypia miały swe odrębności równie jak prowincye, zapobiegając zarazem nieporządkowi i unikając pod tym względem wszelkich nadużyć.

Mojem stałem przedsięwzięciem, nieustannem pragnieniem jest po prostu dać Hiszpanii to czego teraz nie ma; dać tej ukochanej Hiszpanii wolność, którą zna tylko z imienia, wolność córę Ewangielii, a nie libernlizm, potomka reformacyi, wolność która jest panowaniem praw sprawiedliwych, to jest odpowiednich prawu bożemu i prawu natury.

My królewskie dzieci, my wiemy, że naród nie jest dla króla, tylko król dla narodu, że król powinien być najszlachetniejszym mężem w swoim narodzie, tak, jak jest w nim pierwszym szlachcicem, ze powinien szczycić się tytułem: „Ojca ubogich i podpory słabych."

Mój drogi bracie, w Hiszpanii jest jedna piekąca kwestya, kwestya finansowa, ze strachem widzi się wszędzie deficyt, siły produkcyjne kraju nie wystarczają by go pokryć, bankructwo jest nieuniknione. Nie wiem bracie, czy Hiszpania może uniknąć tej katastrofy, ale jeżeli to jest możliwe, to jedynie tylko prawowity król może ją od tego zachować. Niezłomna wola tworzy cuda. Jeśli kraj jest ubogi, niech ministrowie żyją skromnie i król również niech sobie za przykład bierze Henryka *El Doliente*. Jeśli król da pierwszy przykład, wszystko stanie się łatwem: zmniejszyć pensye ministrów, uprościć i umoralnić administracyę prowincyj, zmniejrzyć liczbę urzędów, a zarazem protegować rolnictwo, wspierać przemysł i zachęcać handel.

Uratować finanse i kredyt piszpański jestto olbrzymie zadanie do którego kraj zarówno z rządem ręki przyłożyć musi. Trzeba żebyśmy i w tej ekonomicznej pracy zostali prawdziwymi Hiszpanami, szanując krajowe płody, niechcąc brać z zagranicy jak tylko rzeczy pożyteczne. U jednego narodu bardzo dziś potężnego industrya, dzisiejsze główne zródło jego bogactwa było niegdyć bardzo zaniedbane, finanse zrujnowane, a królestwo ubogie. Z pałacu królewskiego wyszła i rozpowszechniła się między ludem moda ubierania się tylko w krajo-

wego wyrobu materye. Industrya się podniosła, i była szczęśliwym impulsem do podniesienia się finansów i dobrobytu krajowego.

Mniemam bracie mój, iż rozróżniam dobrze, co jest prawdą a co fałszem w niektórych nowożytnych teoryach, i dlatego uważam to za błąd okropny zastosowywać do Hiszpanii ideę wolności handlu, która jest wstrętną Francyi i którą Stany Zjednoczone odrzucają. Myślę przeciwnie, iż dla przemysłu krajowego potrzeba skutecznej protekcyi. Postęp wskutek protekcyi niech będzie naszą zasadą.

A przezto samo iż pojmuję co jest prawdą a co fałszem w tych teoryach, wiem także w jakich punktach ma racyą część narodu, która zdaje się być dzisiaj najbardziej zbłąkaną. Jest rzeczą pewną, że wszystko co jest rozumnego i uprawnionego w jej dążnościach nie jest wynalazkiem od wczoraj, ale są to doktryny od dawna uznane, choć nie zawsze praktykowane, a zwłaszcza w naszej epoce.

Jeźli kto inny mówi dzisiaj narodowi memu, że jest królem, oszukuje go, lecz to jest prawdą, że cnota i wiedza są głównym tytułem szlachectwa, że osoba żebraka jest zarówno nietykalna jak wielkiego pana; że prawo powinno czuwać tak dobrze przy bramach pałacu jak przy wrotach chaty, że trzeba tworzyć instytucye nowe, tam gdzie dawne nie są wystarczające, aby uniknąć tego, żeby wielkość i bogactwa wyzyskiwały ubóstwo i pokorę. Jest to właściwością rządu dobrego i przezornego otoczyć stan słabych i małych szczególną pieczołowitością, i dbać oto poprostu aby biednym niebrakowało roboty, by ich dzieci które od Boga zdolności dostały, mogły zdobyć sobie naukę wraz z cnotą i aby otwarte im były drogi do najwyższych w państwie godności.

Dawna Hiszpania dobrą była dla ubogich, rewolucyjna nie była nią wcale. Partya w narodzie, która marzy dziś o Republice, zaczyna pojmować tę prawdę, i skończy się na tem, że przejrzy jasno i zobaczy że monarchia chrześciańska jest w stanie więcej zrobić dla niej, niż to co zdziała kiedykolwiek trzystu awanturników dyskutujących w hałaśliwem zgromadzeniu.

Partye i naczelnicy partyj zazdroszczą naturalnie honorów, bogactw, władzy. Lecz cóż może mieć za pragnienie

inne na świecie król chrześciański, jak dobro swego narodu? Cóż może brakować temu królowi do szczęścia, jeśli ma miłość narodu.

W myślach tych i uczuciach mój drogi Alfonsie, jestem wiernym dobrym tradycyom dawnej chwały monarchii hiszpańskiej, a chcę być człowiekiem swego czasu, i nie zapominam o przyszłości.

Pojmuję całą odpowiedzialność tego, który bierze na siebie zadanie zwrócić Hiszpanię na inne tory, lecz jeśli wyjdzie zwycięzcą z tego przedsięwzięcia, niezmierną będzie chwała jego. Urodzony z prawem do korony hiszpańskiej, i widząc w tem prawie mojem święte obowiązki, przyjmuję tę odpowiedzialność, i szukam tej chwały. Czerpię odwagę do tego w skrytej nadziei, że z pomocą Bożą naród hiszpański i ja zrobimy wielkie rzeczy, i że wiek przyszły powie, że byłem dobrym królem, a że naród hiszpański wielkim narodem.

Ty mój bracie który masz ten los do pozazdroszczenia, że służysz pod chorągwią nieśmiertelnego naczelnika Kościoła, błagaj naszego duchownego króla o błogosławieństwo apostolskie dla Hiszpanii i dla mnie.

Niech Cię Bóg ma w swojej opiece.

Twój brat *Carlos.*

Don Karlos nie chciał rozpoczynać żadnej akcyi bez naradzenia się poprzednio z patryarchą Karlizmu, za jakiego uważany był główny bohater siedmioletniej wojny Jen. Cabrera, który od dawna bawił w Londynie, gdzie się był ożenił z Angielką panną Weedworth córką słynnego fabrykanta armat. I tu zaraz na wstępie spotkało młodego pretendenta wielkie rozczarowanie. Nie zastał on już dawnego Cabrery; długoletni pobyt w pozytywnej Anglii, protestanka żona, obcowanie z liberalnemi kołami zmateryalizowanych wielkich fabrykantów angielskich o tyle wpłynęły na jego charakter, ze jego dawne katolickie rojalistowskie i karlistowskie przekonania ulotniły prawie zupełnie, została mu się tylko mglista utopia jakiegoś ideału chrześciańskiej rzeczypospolitej, w której chciałby był Hiszpanię utopić, i wyrobiła się w nim przytem taka pogarda

dla własnej ojczyzny iż przyjął i pożegnał Don Karlosa tym arcywygodnym frazesem „że Hiszpania nie warta tego żeby cokolwiek dla niej zrobić, tak wszystko tam już źle idzie.“

Powrócił więc Don Karlos do Genewy, a później osiadł w Paryżu, i tu gromadził się koło niego znowu jakoby dwór cały. W salonach niepozornego domu przy ulicy Chauveau Lagarde można było spotkać Grandów hiszpańkich jak książęta Pastrana i de la Roca, markizowie de Valdespina, de Vallecefrato, de Casaflores, de Valdegamas, de Vallehermoso, de Villadarias de Narros de la Gramosa, de Santa Cruz, de la Romana; Hrabiów de Fuentes, de Faura, de Galvez, del Bosque del Pinar, de Robrés, de la Patilla de Pinatelle, jenerałów jak Caballos Elio, Tristany, Algara, Sabals, Martinez Tenaquerro, literatów jak Tejada i Aparici Guijarro, i wielu innych z najrozmaitszych stanów, oficerów, urzędników deputowanych, którzy przyjeżdżali do Paryża oddając na usługi Don Karlosa fortunę i życie.

W północnych krajach Hiszpanii tymczasem formowały się już w górach oddziały powstańców, nieuznających prowizorycznego rządu w Madrycie, i czekających tylko hasła do rozpoczęcia wojny. Mówiłem już o tem w rozdziale poprzednim jak Don Karlos początkowo zakazał stronnikom swoim wszelkich zbrojnych ruchów, i polecił natomiast wziąść udział w nowych wyborach do Kortezów, myśląc iż tym sposobem na pokojowej drodze dojdzie do tronu. Wiemy już dla czego te nadzieje zupełnie spełzły na niczem, agitacya wyborcza madryckiego rządu skrzywiła opinię kraju, i choć pomimo tego partya Karlistów w Kortezach ze wszystkich była najliczniejsza, choć stanęli na jej czele ostatni ministrowie królowej Izabelli Candido Nocedal i Gonzales Bravo, przez to iż wszystkie inne partye w tym jedynym punkcie przeciw Karlistom zgodnie się łączyły, nie mogli do niczego doprowadzić.

Ze wszystkich mężów stanu podówczas w Madrycie u steru będących najmniej lekceważył Karlistów jen. Prim. Gdy wczasie bezowocnych poszukiwań swoich za stosownym kandydatem na posadę króla hiszpańskiego w r. 1869 Prim bawił w Paryżu, hr Olozaga, ówczesny ambasador Hiszpański na francuskim dworze przejęty panującą wówczas francuską doktryną doradzał mu żeby się uciekł do plebiscytu. „Jest to środek

nie dający się w Hiszpanii zastosować, odpowiedział Prim na tę propozycyą, gdyż u nas plebiscyt w obecnej chwili wprowadzałby niezawodnie na tron Don Karlosa.“ Co więcej, nawet umyślił Prim niezawodny sposób zabicia raz na zawsze Karlizmu i Don Karlosa; sam był u niego z propozycyą, iż go wprowadzi do Madrytu byle zaprzysiągł konstytucyę liberalną. Don Karlos jednak nie dał się złowić w tak ponętne sidła, i stanowczo odrzucił propozycyę Prima; jestto szczegół mało komu dotąd znany.

Wiadomo wszystkim jaką katastrofę sprowadziła na Europę niedoszła kandydatura Hohenzollerna na tron hiszpański. Wszystko w Europie zeszło na drugi plan w obec okropności i grozy 1870—71go roku, a więc i hiszpańska rewolucya była jakby tylko mało znaczącym epizodem. Dopiero z początkiem 1871 r. udało się w reszcie Primowi zwabić księcia d' Aostę, by wziął w entrepryzę hiszpańskie królestwo, lecz w dniu w którym Amadeusz wylondował w Nowej Cartagenie, zapyrenejski Warwick królotwórca padł ofiarą zbrodniczego zamachu. Sprawcy nie odkryto, a wiadomo to w całej Hiszpanii wszystkim kto chce i nieche o tem wiedzieć, że nie odkryto go dla tego, iż był zbyt wysoko położony, żeby mógł być pociągniętym do odpowiedzialności. Prim nierównie wyższy był intellgencyą i siłą charakteru od Serran. Gdy po obaleniu tronu Izabelli obydwaj zostali u steru, Prim umiał odrazu zepchnąć Serrana na drugorzędne stanowisko, zrobił go wprawdzie Regentem królestwa z tytułem *Majestatu*, sam jednak zachował dla siebie prezydencyą ministrów i teką ministra wojny, t. j. miał cugle w rękach, pozwalając ks. de la Torre cieszyć się tylko pozorami władzy. Nie mógł znieść tego Serrano, jeszcze bardziej nie mogła z tym losem pogodzić się jego małżonka, piękna księżna de la Torre. Ona to więc najęła tych czterech bandytów, którzy zatarasowawszy wprzód ulicę wozami, gdy się powóz Prima powracającego z kortezów przez to w drodze zatrzymać musiał, strzelili do niego równocześnie z czterech *trabucos*, hiszpańskich garłaczy i tak zmiażdżyli kulami, że trup był nie do poznania.

Wiadomo powszechnie jak dalece rządy króla Amadeusza I. pozbawionego kierującej ręki Prima uszczęśliwiły Hiszpanię. Za jego też panowania wybuchła ostatecznie karlistow-

ska wojna. Wspomnieliśmy już o tem także w poprzednim rozdziale, że gdy w r 1872 nowe wybory do Kortezów rozpisano, Don Karlos widząc bezowocność walki parlamentarnej w obec podwojonej jeszcze agitacyi wyborczej ze strony madryckiego rządu dał hasło do boju i tak rozpoczęły się (w kwietniu 1872 r.) pierwsze kroki wojenne z okrzykiem „precz z cudzoziemcem!“ Pierwsza ta kampania wypadła dla Karlistów bardzo nieszczęśliwie. Kilkanaście tysięcy źle uzbrojonych ochotników z prostemi fuzyami zebrało się w Nawarze i Guipuzcoa, kilka tysięcy w Biskai. Ułożony już i zagwarantowany plan przez jenerała Diaz de Rada, żeby przeciągnąć większą część rządowej armii na stronę Karlistów, na czem głównie budowano i przez co Pampeluna i San Sebastian odrazu zajęte być miały, w ostatniej chwili przez słabość tegoż jenerała spełzł na niczem. Tego samego dnia kiedy Don Karlos wkroczył był do Hiszpanii przez Verę, Diaz de Rada umknął do Francyi. Ochotnicy bez należytej organizacyi wojskowej czekali na swego króla pod Oroquietą, gdzie zostali nagle ze wszystkich stron obsaczeni przez jen. Morionesa, który ich zupełnie rozprószył, a Don Karlos zaledwie z życiem wrócił do Francyi. Po tem zwycięstwie Morionesa zdawało się że już wszystko skończone, zwłaszcza że jen. Serrano skłonił nawet pewną część biskajskiej szlachty do podpisania podobnego Convenio w Amorovieta, jak to które w Vergarze zakończyło niegdyś wojnę siedmioletnią.

Tymczasem rewolucya hiszpańska po śmierci Prima straciła inteligentnego kierownika, straciła metodę; szła już dalej bezmyślnie własną siłą ciężkości do coraz głębszego upodlenia. Król Amadeusz po 25cio miesięcznych rządach uznał za stosowne opuścić przybraną ojczyznę i w samej rzeczy nic miał tam co dłużej robić, jeśli nie chciał dotrzymać nierozważnie danego słowa iż „nie wyjdzie z Hiszpanii chyba zabalsamowany“. Sofistyczny retor-profesor-poeta Castelar, dobrze wychowany ideolog-republikanin Figueras, i Pi y Margall tłómacz i adorator Proudhona, którego na szczęście niezupełnie pojął: oto tryumwirat któremu zostały powierzone dalsze losy Hiszpanii przez „wszechwładny naród.“ Doszło wreszcie do takiego składu izby Kortezów, iż Castellar reprezentował w niej skrajną prawicę! Teki ministeryalne przechodziły z rąk do rąk co

parę miesięcy, w przeciągu niespełna trzech kwartałów było pięć gabinetów coraz radykalniejszej barwy, bo każdy deputowany czuł w zanadrzu tekę ministeryalną jako niezawodny kres swojej karyery, wychodziły też na wierzch coraz mniej znane osobistości jak Contreras, Pedregal, ten Pedregal o którego dopiero gdy został ministrem sprawiedliwości powszechnie dopytywano się: *Quien es Pedregal?* kto jest Pedregal? i było to przez jakiś czas nawet modą w Madrycie wołać po ulicach: Quien es Pedregal? i przylepiano plakaty na gmachu ministeryalnym z tem zapytaniem.

Właściwiej pytać się można było wówczas: gdzie jest Hiszpania? gdzie się podziała? rozpadła się na części, na kilkanaście niezawisłych od siebie prowincyj, co nazywano *federalizmem.* Bądź co bądź jednak trzeba oddać Hiszpanom tę sprawiedliwość, iż ta ich rewolucya świadczy o wielkiej łagodności ich charakteru narodowego. Żadnego prawie rządu, prócz kilku retorów na czele, powszechna anarchia, państwo przechodziło prawie wszystkie fazy rewolucyi francuzkiej, od steru umiarkowanych Girondystów aż do radykałów, a pomimo tego przy tych wszystkich zmianach i przewrotach nie było prawie żadnych ulicznych gwałtów i krwawej orgii rewolucyjnej. Przynajmniej w Madrycie bawiono się, uczęszczano na Prado, do teatrów i kasynów, pito czekoladę jakby za najlepszych czasów. Zdumiewająca bezmyślność i lekkomyślność tłumów odpowiadała wszystkim tym przejściom i zamachom stanu co najwięcej doraźnym żartem lub dowcipem. Bo też ta rewolucya hiszpańska nie była początkowo ruchem wzburzonych mas narodu, lecz dziełem kilku, kilkudziesięciu wreszcie kilkuset awanturników, którzy rzucali się w politykę jakby w spekulacyą giełdową, uważając ją za lukratywne przedsiębiorstwo.

Stan jednak taki, choć początkowo na pozór bardziej do niesmacznej, płaskiej farsy podobny niż do rewolucyi, nie mógł długo potrwać bez sprowadzenia bardzo tragicznych następstw. Nie Girondyści ani Republikanie ani Jakobini hiszpańscy, których wstydziliby się ich francuzcy protoplaści, nie oni powiedzieli tu ostatnie słowo, brzemienne mordem i pożogą, wyrzekli je ci co są na dnie: socyaliści. Nieograniczona wolność prasy dozwoliła powstać i podnieść głos pismom takim jak *El Petroleo,* albo *Los Descamisados,* podburzającym naj-

dziksze instynkta, najniższych warstw społecznych. „Wojna bogatym! wojna społeczeństwu! niwelacya powszechna! anarchia, to nasze hasła," wołał *El Petroleo* „My lubimy trzy czerwone rzeczy: Ogień, krew i wino" pisali *Los Descamisados,* t. j. ci co chodzą bez koszuli. Poruszyły się więc w końcu masy robotników w industryjnych prowincyach południowej i środkowej Hiszpanii. Alcoy, Sevilla, Valencia, Tarragona, Alicante, Carthagena stały się wnet widownią scen najstraszniejszych, godnych zapisania obok gwałtów komuny paryzkiej.

Okropny ten i opłakany stan biednej Hiszpanii obudził na nowo Karlistów do działania. Pomimo stanowczego niepowodzenia pierwszej kampanii w roku 1872, Don Karlos postanowił ponowić kroki wojenne, chociaż mu to weterani jego odradzali. Jen. Ollo w Amescaos, jen. Redica w Guipuzcoa z polecenia samego króla rozpoczęli na nowo kampanią, która wnet coraz większe zaczęła przybierać rozmiary. Równocześnie jen. Savalls zbierał ochotników w Katalonii i kilka szczęśliwych stoczył niemi utarczek. Don Karlos sam nie pierwej wszedł do Hiszpanii, aż póki Karliści, których liczba w przeciągu kilku tygodni urosła była do kilkunastu tysięcy, nie odnieśli większego zwycięztwa pod Eraul. Dopiero po tym odwecie za Oroquietę Don Karlos przeszedł granicę Nawary (16 lipca 1873) gdzie przyjęło go zaraz na wstępie kilkanaście batalionów już nieźle zorganizowanego wojska. Rok 1873 bardzo korzystny był dla sprawy Don Karlosa, bo już sam wewnętrzny stan Hiszpanii dochodzący do największego rozdarcia i upadku pchał do obozu jego wszystkich głębiej myślących, którzy szukali dla swej ojczyzny jakiejś przecie kotwicy ratunku. Szczególniej duchowieństwo całe stanęło po stronie Don Karlosa, i jemu to głównie zawdzięcza on tak szybkie postępy kampanii 1873 r również jak i temu, że wielu zdolnych jenerałów z armii rządowej jak Rodrigues, Mendiri, Dorregaray, Lizzaraga, Ollo, Radica i t. d. i wielu bardzo oficerów szczególnie z wzorowej artyleryi oddali mu się na usługi, i z ochotników stworzyli wnet regularną armię. Prócz tego w Guipuzcoa proboszcz że Santa Cruz na swoją rękę prowadził na dawny sposób gerylasówkę i w początkach, nim Don Karlos wszedł do Hiszpanii oddał wielkie usługi. Pomimo tego jednak król

nie chciał żeby kapłan z bronią w ręku walczył w jego obozie i kazał mu zaprzestać wojny i wyjechać do Francyi.

Także i zewnętrzna konstelacya polityczna była bardzo sprzyjająca w początkach tej drugiej kampanii Don Karlosa i rokowała mu wielkie nadzieje. Upadek Thiersa, fuzya francuskiego domu Borbonów, i bliska perspektywa restauracyi bourbońskiej we Francyi bardzo wiele obiecywała, Chambord w Paryżu znaczyło tyle co Don Karlos w Madrycie. O ile więc pierwsza kampania pod nieszczęśliwą zaczęła się gwiazdą, o tyle druga coraz świetniejszy brała obrót ze zwycięstwa idąc do zwycięztwa. We wrześniu pod Dicastilio, Viana, w październiku pod Puente el Reyna, pod Manero stoczono zwycięzkie batalie, największego zaś czynu wojennego dokonano w listopadzie pod Monte Jurra w pobliżu Estelli, gdzie Moriones pogromca pierwszej kampanii został pobity. Armia Don Karlosa liczyła już wtedy do 25 tysięcy żołnierza, a równocześnie z wojskową organizacyą, Baskie prowincye i królestwo Nawarra już wtedy ukonstytuowały się i pod względem cywilnem i administracyjnym z Don Karlosem na czele, tak jak to w poprzednim rozdziale opisałem. Gdy się teatr wojny przeniósł na zachód do Biscai pod Bilbao, odtąd już z nierównem szczęściem walczyli Karliści. Rok 1874 rozpoczął się bardzo świetnie bitwą pod Sommorostro, gdzie Moriones większą daleko jeszcze niż w roku zeszłym poniósł klęskę, tak iż sam telegrafował do Madrytu: „jestem pobity przysełajcie posiłki i innego jenerała. Była to właśnie chwila przełomu hiszpańskiej rewolucyi na południu i w Madrycie Martinez Campos uśmierzył socyalistyczne bunty, jen. Pavia zaś rozpędził Kortezy i Serrano, który przed rokiem zaledwie z życiem uszedł przebrany do Anglii, powrócił teraz jakoby opatrznościowy mąż porządku. Serrano z początku sam objął komendę armii północnej pod Bilbao, został jednak w kilku potyczkach odpartym (26 27 i 28 marca) powołał więc na głównego dowódzcę jen. Conchę Markiza de Duero, nie dając mu jednak nominacyi.

Fatalny wypadek, iż bez żadnej bitwy, niedaleko Sommorostro, jakaś zbłąkana bomba z pobliskiego fortu zabiła odrazu dwóch najlepszych karlistowskich jenerałów Ollo i Radica, którzy właśnie w lesie odbywali radę wojenną z kilkoma oficerami sztabowemi, bardzo zmroził ducha Karlistom. To też oblężenie

Bilbao prowadzone było dalej bez energii, a w końcu odstąpiono od niego, i jen. Concha (w kwietniu) w tryumfie wszedł do tej fortecy.

Karlisci przenieśli się z całą siłą znowu do Nawarry i tam wkrótce mieli zupełny odwet za niepowodzenie pod Bilbao. Długa bezczynność jen. Conchy pozwoliła im się bardzo wzmocnić i wziąść ofenzywę. I tu się zaczęła w okolicach Estelli najświetniejsza karta historyi karlistowskiej wojny, prawdziwie klasyczny jej ustęp. Na polach Abarsusy pod samą Estellą (zwiedzałem to miejsce) stoczono krwawą trzydniową bitwę (28, 26, 27 czerwca 1874 r.) po stronie karlistów walczyło 28,000 wojska z czterema armatami, Concha miał 50,000 żołnierza i sto armat. szala zwycięztwa ważyła się, to na jedną to na druga stronę, wreszcie jenerał Concha zginął, (na pagórku który mi pokazywano), powstał wielki popłoch w jego szeregach i trzydniowe zapasy skończyły się zupełną klęską liberalnych. Wkrótce potem karliści zdobyli Estellę, ufortyfikowali ją i odtąd już była tam główna kwatera Don Karlosa.

Rzecz dziwna że od tej chwili nie było już żadnej bitwy, w którejby tak znaczne siły były zaangażowane, któraby stanowczy wpływ na dalszy przebieg wojny wywarła, chociaż od tej pory właśnie podwoiła się armia Don Karlosa i rozwinęła na większą skalę, przyszło kilka transportów dział z najlepszoj fabryki angielskiej Weedworth, razem 82 sztuk, co z dawnemi armatami przeszło 100 sztuk czyniło. Prócz nieudanej zupełnie wyprawy na Irun i St. Sebastian (w październiku 1874 r.), były same tylko drobne utarczki, które z różnem szczęściem we wszystkich północnych prowincyach hiszpańskich staczano. W miarę jak wzmagała się liczebna siła i materyalne środki armii Don Karlosa, zewnętrzna i wewnętrzna konstelacya polityczna coraz niekorzystniej dla Karlistów się układała. Restauracya Bourbonów we Francyi nie przyszła do skutku, poczem Prusy coraz baczniejsze zaczęły mieć na Hiszpanię oko, widząc prawdopodobieństwo, że to do czego nie doszło we Francyi, łatwo stać może za Pyreneami, zważywszy że zwłaszcza po ostatnich zwycięztwach w okolicy i w samej Estelli Don Karlos już wcale nie pośledniemi rozporządzał siłami i na dosyć obszernem teryto-

ryum ugruntował swoje panowanie [1]). Jawnego zbrojnego wmięszania się Prus w wewnętrzne stosunki hiszpańskie nie było, jednakowoż we wszystkim co się tam odtąd działo była pruska ręka.

Małe zatargi na morzu hiszpańskich fregat ze statkiem kapitana Wernera, *Fryderykiem Karolem,* usadowienie się statków niemieckich w Santander, głos oburzenia niemieckiej prasy i dyplomacyi z powodu rozstrzelania kapitana Schmidta jako szpiega, wszystko to zapowiadało energiczniejszą akcyę. Później uznanie Serrana przez całą Europę z wyjątkiem Rosyi było dziełem pruskiem, następnie Don Alfons tylko Prusom tron hiszpański zawdzięcza. Syn Izabelli z Wiednia prosto z Terezyanum na Berlin jechał do Madrytu, a jen. Martinez Campos na miesiąc przed swojem *pronunciamento* za Don Alfonsem także jeździł do Berlina. Przyznawali mi to sami Karliści, że gdyby Don Alfons w Madrycie od razu szczerze po katolicku był wystąpił, wtedy ich sprawa byłaby już skończona, straciła by od razu racyę bytu, i Don Karlosowi nie pozostowałoby nic innego jak się usunąć. Ale już sam pruski początek, ten grzech pierworodny panowania Don Alfonsa, nie dozwalał mu ogłosić się szczerze jako *El Rey Catholico de las Espanas,* w pierwszych miodowych miesiącach jego rządów dzienniki

---

[1]) Armia Don Karlosa dzieli się na trzy główne korpusy: na armię *Katalońską, Środkową i Północną.* Z końcem r. 1874 liczebny stan tych trzech korpusów był następujący:

1) Armia Katalońska: 22 bataliony piechoty i 5 szwadronów kawaleryi.

2) Armia środkowa (w prowincyach Maestrazgo, Valencyi i Aragonii), 21 batalionów piechoty i 5 szwadronów kawaleryi.

3) Armia północna (Nawarra, Guipuzcoa i Biskaja) 49 batalionów piechoty i 15 szwadronów kawaleryi. Każdy batalion liczy 600 do 800 ludzi, każdy szwadron 120 koni. Artylerya, jak już wspomniałem, posiada do 100 dział; z tych 82 Weedwortha, jedna baterya Kruppa, reszta lana w krajowéj fabryce w Aspeitii. Ten sam prawie liczebny stan armii był i podczas mojéj bytności w Hiszpanii, bo o ile zmniejszyły się trochę siły w Katalonii, z upadkiem twierdzy Seo d' Urgel o tyle powiększyły się w Navarze i Guipuzcoa.

urzędowe przyjęły wprawdzie jakoby barwę katolicką, jednakże wnet zaczęły się zatargi rządu z Nuncyuszem i z kuryą rzymską, co wszystkim prawowiernym Hiszpanom i duchowieństwu, które się już było zachwiało w swoich karlistowskich sympatyach, oczy otworzyło. To też pomimo Don Alfonsa w Madrycie Don Karlos panował dalej na północy i w całej Hiszpanii, choć zmęczonej wojną domową nie przestał mieć stronników. Cały rok 1875 był niejako rokiem panującego *status quo* w Hiszpanii w czasie którego obóz Don Karlosa bardziej wewnątrz się organizował i oczyszczał, aniżeli działał na zewnątrz, nie występowano z żadną inicyatywą ani ofenzywą, czekano nowych wypadków w Madrycie, bo w stałość rządów Don Alfonsa nikt nie wierzył. Dopiero teraz od początku bieżącego roku dwie armie stoją już naprzeciw siebie gotowe do boju, i zdaje się że wnet już Opatrzność kierująca losem wojny rozstrzygnie, czy Hiszpania zasłużyła sobie na to by w niej zwyciężyli ci co stoją przy prawdzie i za nią ginąć umią, czy też i ona zarówno z całą Europą skazana jest na to, by paść ofiarą brutalnej siły przed prawem.

Poprzestaję na tym krótkim szkicu całego przebiegu karlistowskiej sprawy od początku, nie wdając się w bliższe szczegóły, ktoby zaś pragnął z historyą tej wojny lepiej się zapoznać, odsełam do dzieła p. t. *La Guerre civile en Expagne par Carlos de Bonilla,* wiarygodność tej książki o tyle stwierdziłem, iż mogłem ją porównać z ustnemi relacyami p. de Bourgade, który jej nieznał wcale i przekonałem się, że te dwa główne źródła moich informacyj w niczem nie stoją ze sobą w sprzeczności. P. de Bourgade dopełnił mi tylko i rozjaśnił niektóre szczegóły, które lepiej mógł wiedzieć, jako stojący bliżej głównych działających osób, mianowicie co się tyczy początku, samego zawiązku sprawy wytoczonej przez Don Karlosa z bronią w ręku w obec całego świata, o co najbardziej się wypytywałem, bo w historyi wszystko żyje tem z czego powstało.

Nim pojechałem do Hiszpanii nieraz zapewniano mię, że ta wojna, to czysto lokalna ruchawka, rewolta baskich prowincyj o *fueros* i nic więcej, tymczasem na miejscu przekonałem się, iż to jest nietylko całej Hiszpanii ale i całej Eu-

ropy dotycząca kwestya. Sprawa Don Karlosa jest sprawą całej Hiszpanii, bo Don Karlos stoi i utrzymuje się nietylko samą siłą północnych krajów, które są jego terenem operacyjnym, lecz środkami płynącemi z całej Hiszpanii, z całej Hiszpanii ma ochotników żołnierzy, oficerów i jenerałów, z całej Hiszpanii dochodzą go pieniądze, bo inaczej nie mógłby utrzymać kilkodziesięcio tysięcznej armii. Wewnętrzny upadek Hiszpanii, polityczna i religijna rewolucya nurtująca kraj ten, obudziła zdrowszą część narodu i zdrowszą linię panującego domu Bourbonów do działania, by z bronią w ręku przywrócić i ugruntować na prawdziwych podstawach ład i porządek w rozdartej ojczyźnie. A jestto zarazem sprawa europejska, bo rdzeniem jej nie jest teraz drzewo genealogiczne, te lub owe prawa sukcesyjne, lecz to co dzisiaj jądro Europejskiej Historyi stanowi: jestto przedewszystkiem innem wojna religijna. Ta sama walka która gdzieindziej prowadzi się w parlamentach, w Hiszpanii rozgrywa się w polu z bronią w ręku. W innych krajach katolicy, zwykle w mniejszości, bronią kościoła przeciw wdzieraniu się państwa w jego prawa i stawianiu go na miejscu kościoła, w Hiszpanii katolicy, Karliści chcą naprzód postawić umocować katolickie państwo, aby w niem mogła zakwitnąć wolność kościoła. A plan takiego gmachu jest gotowy, wykończony do najdrobniejszych szczegółów w głowach tych co sprawą kierują, był już takim jeszcze przed rozpoczęciem kampanii. Jestto plan restauracyi państwa zrujnowanego rewolucyą, który dziś nietylko samej Hiszpanii mógłby się przydać, plan reakcyi katolickiej przeciw panującemu dziś politycznemu porządkowi świata, która to idea w Hiszpanii pierwszą próbę krwi i żelaza przechodzi, spisek ultramontański, — powiedziałby liberalny dziennik, — spisek europejskiej doniosłości, uknuty w Genewie czy w Paryżu, a prowadzony dalej hiszpańską narodową siłą, i ztąd ta okropna powszechna nienawiść do tej sprawy wszystkich tych samych żywiołów i tej samej prasy, która dzisiejszą walkę w imię kultury prowadzi.

A więc ta garstka kilkudziesięciu tysięcy ludzi w pyrenejskich górach ma odrodzić Hiszpanią i dać początek, przykład politycznego odrodzenia dla całej Europy?! ta garstka w obec milionów stojących pod bronią na usługi przeciwnego obozu, żelaznego systemu centralizacyi i wszechmocy państwa,

z pod którego nic już na świecie wyłamać się nie jest w stanie! Gdy się słyszy Karlistów ze szczerym zapałem i z całą wiarą mówiących iż czują się powołanymi do tak olbrzymiego dzieła, mimo woli przychodzi na myśl refleksya: „O jakże wielkim jesteś Cerwantesie, jakże głęboko uchwyciłeś charakter twego narodu w nieśmiertelnym twoim bohaterze, zamiast jednego, Hiszpania liczy teraz Don Kiszotów na tysiące, bo czyż Karliści to nie istne Don Kiszoty, robiący z karczmy hiszpańkiej, do której kto chce zajeżdża, królewski zamek, zdobywający w wyobraźni swojej zamorskie królestwa Micomicony by je oddać prawowitej infantce pokrzywdzonej przez strasznego Perdafilanda, nie zważając czy przytem przyjdzie się zmierzyć z pięcią czy sześcią olbrzymami, wyzywając przeciw sobie całe hufce nieprzyjaciół, wszystkie ludzkie potęgi i piekielne siły!

Z drugiej strony jednak gdy się zważy jaka tych Hiszpanów wykołysała historya, gdy sobie przypomnieć, że właśnie te góskie, basko-nawarskie plemiona, przez kilka wieków wstrzymywały i odparły wreszcie arabską powódź islamizmu, że pobiły Karola Wgo, a po tysiącu lat Napoleona, że przed trzystu laty właśnie z tej samej Guipuzcoy i z tej Samej Nawary, z okolic gdzie dziś krew się leje, z miasteczek Loyoli i Xawer prostych dwóch szlachciców ocaliło instytucyami swemi śmiało rzec można połowę świata od zgubniejszego jeszcze niż islamizmu zalewu reformacyi, — to doprawdy że dziwić się nie można, iż żyjącym na tej ziemi nic się niepodobnem nie wydaje, i że dziś tak samo zwalczyć myślą rewolucyę, jak przed wiekami przemogli Islamizm i protestantyzm, to też będąc tam na miejscu rozumie się dopiero słowa Don Karlosa, z któremi wszedł do Hiszpanii: Choć się nie uda, zawsze to będzie poemat!

Dzień za dniem schodził mi w Hirache i w Estelli a Don Karlos nie wracał. Wprawdzie skarżyć się nie mogę, bo przyjemnie czas spędzałem, zwłaszcza w Hirarche, gdzie prócz miłych *tête à tête* z p. de Bourgade różnych używałem przyjemności, robiliśmy wycieczki do okolicznych fortów, do obiadu do kolacyi zasiadało nas zwykle po kilkanaście osób, domowych i przyjezdnych z Estelli: jenerałow, gwardzistów, oficerów, księży; i p. Olozabal, który znudzony czekaniem na króla, skrócał sobie czas polowaniem na kuropatwy w okolicach Hiracze, codziennym tamże był gościem. Przy stole zwykle bardzo ożу-

wiona była pogadanka o stosunkach hiszpańskich, które p. de Bourgade czasem, na wielkie utrapienie zagorzałych Hiszpanów z francuzkim dowcipem krytykował, wszystko jednak szło po przyjaźni i nikt się nie gniewał, bo nikt też z drugiej strony większego hołdu nie oddawał poczciwej ludności karlistowskich krajów, prostocie ich i doskonałości obyczajów jak p. de Bourgade. I w samej rzeczy nigdzie dotąd zdaleka od swoich w obcym kraju nie czułem się tak między samymi uczciwymi ludźmi, jak tam między Karlistami. Przytem życie w Hirache urządzone jest całkiem po klasztornemu, i porządek ten dla żadnych gości w niczem się nie zmienia, po każdem jedzeniu szło się do kaplicy na wspólne modlitwy, jak w każdym klasztorze, a choć nie było *silentium,* bo ciągle prawie byłem w towarzystwie samych wojskowych, i anekdotki sypały się czasem jak z rękawa, nigdy nie obił mi się o uszy nawet żaden żart nieprzyzwoity. Pomimo wszystkiego jednak tęskniłem już za powrotem do Francyi, bo się czułem zupełnie odciętym od całego świata, nie mogąc nawet nikomu dać wiadomości o sobie, co się ze mną dzieje, bo koleje i telegrafy pozrywane; choć co drugi dzień szła jakaś poczta, nie było nadziei, żeby list prędzej doszedł do Francyi jak moja osoba.

Wreszcie czwartego dnia wieczór, gdy jak zwykle w Hirache dano mi konia i konnego żebym mógł wrócić do Estelli zastałem miasto znowu w świątecznym blasku, rynek rzęsiście oświetlony jak pierwszego wieczora kiedym na nim stanął, muzyka przed *Palacio* i mnóstwo spacerujących na podcieniach i na placu. Król przyjechał! a jakaż była moja radość gdy spotkawszy niedługo p. Olozabala dowiedziałem się od niego, iż jutro przed południem będę miał audyencyą, a wieczór ruszymy w drogę z powrotem. Po 10tej godzinie tego samego wieczora jeszcze Don Karlos zeszedł na dół i w towarzystwie jakiegoś jenerała przechadzał się przeszło godzinę tam i napowrót jedną stroną placu, kilku gwardzistów szło za nim o parę kroków. Zakazanem jest w Estelli wieczór, gdy król wychodzi na spacer, przyjmować go okrzykami, więc publiczność zachowywała się całkiem spokojnie, tylko na środku placu przy muzyce nie ustawało Fandango prostych żołnierzy.

Gdy stojąc pod jedną z kolumn podcieni, przypatrywałem się przechodzącemu koło mnie tam i napowrót Don Kar-

losowi, spostrzegłem, iż zaczynam niepokoić niektórych wiarusów i młodych oficerów, wpadając im w oczy mojem cywilnem ubraniem jedynem może na całym placu. To też zaraz jeden z nich, jakiś elegancki chłopiec, zbliżył się do mnie i zaczął mię rozpytywać kto jestem i zkąd przybywam, gdy mu jednak wytłómaczyłem że przywiózł mię Don Tirso, nie nagabywał mię więcej i zaraz poszedł uspokoić tych, co go do mnie wysłali.

Nazajutrz od rana Estella była bardzo ożywiona, był jarmark, cały plac i podcienia zastawione były kramami najróżnorodniejszych towarów, przeważnie krajowych płodów i wyrobów, jarmark ten miał zupełnie pozór wielkiego targu chłopskiego na naszych odpustach. Bardzo to szczęśliwie było dla mnie, że mógłem skrócić sobie czas przypatrywaniem się jarmarkowi, bo zamiast około południa dopiero o 3ciej po południu zjawił się p. Olozabal na umówionem miejscu, żeby mię wprowadzić na audyencyą. Weszliśmy do tej sali, której balkon na plac wychodzi, było tam kilku wojskowych w zwykłych mundurach, a między nimi Don Karlos ze wszystkich najwyższy, wszyscy stali, nawet zdaje mi się, że żadnego krzesła w tej sali nie było. Po przedstawieniu mię jako austryackiego Gallegi (galicyanina) Polaka, rozpoczęła się najzwyklejsza rozmowa audyencyonalna, z której chyba tyle tylko nowego się dowiedziałem, że Don Karlos był w Warszawie i bardzo mu się podobała, tylko skarżył się na żelazne bruki, jakie tam są na niektórych ulicach. Ale napatrzeć się nie mogłem tej pięknej postaci łączącej w sobie wdzięk Włocha, Francuza i Hiszpana i tej ujmującej twarzy, w której słodycz uśmiechu łagodzi surowe spojrzenie. Rozmowa moja z Don Karlosem nie długo trwała, gdyż oddano mu jakąś depeszę, z którą na bok się usunął, by ją przeczytać, ja tymczasem przybliżyłem się do p. Olozabala rozmawiającego właśnie z jen. markizem Valdespina, grandem hiszpańskim, którego już przedtem poznałem w Hirache. Jestto może najciekawszy typ jaki spotkałem w Hiszpanii, Karlista jeszcze od Karlosa V, stary ale jary, tylko ogłuchł w skutek długiej służby przy artyleryi, której i teraz jest jenerałem, żołnierz w każdym calu, mówi głośno z żywemi bardzo gestami, a śmieje się całą gębą, czem przypomina bardzo jowialnego polskiego szlachcica, jacy się

jeszcze po wsiach u nas trafiają, a i głuchota jego dodaje mu jeszcze więcej pozoru tej szlacheckiej kordyalności, bo gdy z kim rozmawia, a chce usłyszeć odpowiedź, obejmuje za szyję i każe ją sobie trąbić w samo ucho.

— I cóż? jakże się panu podobają Karliści? zapytał mię po francuzku, gdym się do niego zbliżył i powitał go. Odpowiedziałem mu na to jakimś komplementem w wyż opisany sposób.

— Ho! ho! my choć czasem po wierzchu może i źle wyglądamy, to za to tu, tu, jesteśmy dobrzy, odrzekł klepiąc się po piersiach z całej siły obydwoma rękami. Potem zaraz panu Olozabalowi zaczął pokazywać bardzo piękną szpadę, którą miał przy boku, mówiąc, że to szpada historyczna, nie zrozumiałem jednak jaka do niej wiąże się tradycya, bo mówił dalej po hiszpańsku, i wreszcie z wielkiem zdziwieniem mojem wyciągnął ją z pochwy, by pokazać klingę. Zapytałem zaraz p. Olozabala, czy u nich nie jestto *crimen lesae* dobyć broń z pochwy w obecności króla, gdyż u nas w Polsce tak było.

— I u nas jestto zbrodnia odpowiedział, ale Valdespinie wszystko wolno.

W istocie Valdespina oddał i oddaje ciągle sprawie Don Karlosa niezmierne usługi. Mając swe posiadłości na samej granicy francuzkiej, dom jego był ogniskiem zebrań przewódzców ruchu przygotowujących wybuch wojny, a od pierwszego strzału jest ciągle w czynnej służbie, choć już jest starcem przeszło sześćdziesięcioletnim. A z jakim młodzieńczym zapałem opowiada wojenne wypadki, giestykulując, ustami udając huk armat, że mógłby się uczyć od niego pan Rejent Bolesta, „który jak wiemy bardzo lubił gesta,“ satysfakcyą miałem słuchać go, choć zwykle nie rozumiałem, bo najczęściej mówił po hiszpańsku. Jestto prawdziwy Hiszpan dawnej daty, wojna jego żywiołem.

Przeczytawszy depeszę i pomówiwszy chwilę z jednym z obecnych oficerów, Don Karlos zbliżył się znowu do mnie, ale na to tylko, aby mię pożegnać, przyczem podał mi rękę.

Gdyby się na tem wszystko było skończyło, miałbym mało co więcej do zapisania jak tylko: widziałem Don Karlosa... miałem z nim jednak jeszcze drugie niespodziane spotkanie. Po audyencyi pojechałem z p. Olazabalem do Hirache, by się

pożegnać z p. de Bourgade i innymi mieszkańcami Monasteru, których tam poznałem, i dopiero teraz, gdy już termin odjazdu był naznaczony, prawdziwie żal mi było opuszczać to miejsce, gdzie tyle miłych chwil spędziłem, a już pewnie nie zobaczę go nigdy w życiu. Oby tylko łaskawy Bóg ten wspaniały dom już raz opuszczony a przywrócony znowu chrześcijańskiej służbie, stale nadal zachować raczył w swej opiece!

Późno wieczór wróciliśmy do Estelli. Wyjechać miałem dopiero o 12tej w nocy, spakowawszy się więc i załatwiwszy wszystkie przedwyjezdne interesa, wyszedłem raz jeszcze na miasto, aby rzucić pożegnawcze spojrzenie na ten Estellański rynek, który z całą swoją sceneryą wieczór przy muzyce tak utkwił w mojej pamięci i wyobraźni, że go już póki życia nic w niej zatrzeć nie zdoła. Przechadzałem się po nim z p. Olozabalem, który tam czekał na króla, by się z nim pożegnać. Jak wczoraj około 10tej godz. zeszedł Don Karlos na zwykłą przechadzkę, pospieszył naprzeciw niego zaraz p. Olozabal, pomówił z nim chwilę, i przy rozstaniu się król podał mu rękę, którą on z uszanowaniem ucałował.

Ja stałem o kilka kroków przypatrując się tej scenie, Don Karlos pożegnawszy p. Olozabala, widocznie ku mnie podchodził, zbliżyłem się więc także do niego, a po przywitaniu przemówił do mnie:

— Pan także już odjeżdżasz.

— Za dwie godziny mam być w drodze z p. Olozabalem.

— Tak krótko Pan u nas bawił, że nie wiele mogłeś zobaczyć, szkoda że pan nie poznasz Biskai, bo to nasz kraj najpiękniejszy, tutejsza okolica dosyć smutna.

— Korzystałem ile mogłem z mego tutaj pobytu, żeby jak najwięcej widzieć i jak najwięcej się dowiedzieć, w Hirache p. de Bourgade był tak grzeczny, że informował mię o wszystkiem, o co tylko pytałem, i wyznaję szczerze, iż wszystko co w obozie Jego król. Mości dotąd widziałem i słyszałem, przeszło o wiele moje oczekiwania.

— Jeśli pan chcesz ze mną trochę pospacerować, mogę panu także udzielić niektórych wiadomości.

Skłoniłem się na to z rewerencyą, a Don Karlos biorąc mię pod ramię, wszczął rozmowę wśród przechadzki przeszło godzinę trwającej, źle powiedziałem rozmowę, bo ja tylko za-

ledwie czasem małoznaczące słowo lub pytanie wtrącić mogłem, Don Karlos sam nieustannie mówił, ja słuchałem, a co zapamiętałem streszczam jak następuje.

„Jak Panu pewno wiadomo, mówił Don Karlos, zacząłem prawie z niczem, dziś już jak pan widzi, mam armią stojącą zupełnie na wysokości dzisiejszych wymagań sztuki wojennej, i choć nie co do liczby, to co do uzbrojenia i wewnętrznej organizacyi mierzyć się może zupełnie z armią przeciwnego obozu.... a ma przytem tę wyższość, iż podczas gdy tamta złożona jest po większej części ze świeżych rekrutów przymusowej branki, w mojej są sami wypróbowani ochotnicy. U mnie każdy żołnierz był w ogniu przynajmniej kilkanaście czasem kilkadziesiąt razy, ja sam byłem już przynajmniej sto razy czy to w większych bitwach, czy w drobnych potyczkach. To też pomimo liczebnej przewagi z tamtej strony, nasi ogromnie dotrzymują placu, czasem jeden przeciw dziesięciu, chociaż i tamci odważnie się biją, boć to przecie także Hiszpanie.... Wojna ta pod wieloma względami ma swój zupełnie odrębny charakter. Ja sam gdybym miał czas, miałbym wielką ochotę spisać moje o niej spostrzeżenia, nie byłaby to historya tej wojny, bo na to jeszcze czas nieprzyszedł, tylko moje spostrzeżenia i uwagi mogące mieć wartość dla umiejętności o sztuce wojennej.... W początkach kiedy nam wszystkiego jeszcze brakowało, potrzeba było często uciekać się do podstępu, chwilowych wybiegów. Do wzięcia Estelli n. p. pomógł nam najbardziej jeden mały środek. Zapewne pokazywano panu, z której strony szturmowaliśmy miasto. Długi czas nie mogliśmy nic poradzić, bo byliśmy bez armat tylko z samą ręczną bronią, nieprzyjaciel parzył nas z okien, z poza trochę tylko uchylonych okiennic, my strzelaliśmy do murów, strzały nasze więc prawie nic im nie szkodziły. Wówczas miałem jeszcze dużo ochotników z prostemi strzelbami myśliwskiemi. Przyszła mi więc myśl, kazać im ponabijać drobnym siekańcem i śrótem, i mierzyć celnie w same szpary okiennic, przez które wystawiano lufy, by do nas strzelać, siekaniec zrobił swoje; tam gdzie kula od nas rzadko kiedy się dostała, śrót gęsto sypał się w wązkie otwory okiennic, ranił w twarz strzelających, tak że po każdym naszym strzale, z tamtej strony ogień na chwilę ustawał, a myśmy wtedy najsilniej-

szy szturm przypuszczali, i po kilku takich uderzeniach skombinowanych z zadaną uprzednio nieprzyjacielowi dozys śrótu, weszliśmy wreszcie do miasta...... Albo pod Dicastilio także tylko szczęśliwy wybieg przechylił szalę zwycięztwa na naszą stronę.... już było z nami bardzo źle, do tego komenderujący jenerał przysłał do mnie adjutanta z wiadomością, że za 10 minut wojsko nie będzie miało ani jednego ładunku, wojsko jednak o tem jeszcze nie wiedziało, że puste są wozy z amunicyą. W tej samej więc chwili zakomenderowałem na bagnety, i.... wygraliśmy bitwę, a bylibyśmy ją niezawodnie przegrali, gdybyśmy byli mieli więcej amunicyi... Jużto prawie wszystkie nasze większe zwycięztwa zawdzięczamy brawurze, z jaką wojsko moje idzie na bagnety, tego żadna armia z rekruta nie potrafi, na to trzeba ochotnika.... Ten brak amunicyi w początkach kampanii, który pod Dicastilio tak nam dopomógł, wprowadzał nas nieraz w bardzo przykre kolizye względem własnego wojska, gdyż trzeba było ten brak koniecznie ukrywać, bo nic tak nie demoralizuje żołnierza, jak kiedy wie, że niema czem strzelać, dla pozoru więc wlekliśmy nieraz za sobą wozy z amunicyą, choć w nich nic nie było, i dopiero byliśmy w trudnem położeniu, gdy wśród tego nastręczały nam się nieraz bardzo korzystne pozycye względem nieprzyjaciela, tak że wszystko mówiło zatem, żeby wydać bitwę, wojsko to widziało i rwało się do boju, i sarkało na dowódzców za ich bezczynność, a my musieliśmy znosić raczej od swoich wszelkie podejrzenia braku odwagi, lub nieumiejętności prowadzenia wojny, a nie mogliśmy przyznać się, iż w wyładowanych wozach nie ma ani jednego ładunku.... Teraz już, odkąd mamy własne fabryki nabojów i pocisków armatnich, nie jesteśmy nigdy wystawieni na coś podobnego. Teraz już wojna nasza przestała być partyzantką, jest regularną kampanią liniową, i ma ona w historyi wojen ostatnich czasów jedną swoją bardzo charakterystyczną cechę.... We wszystkich wojnach od 1859 r. walczono nierówną bronią, we wojnie włoskiej (1859 r.) Francuzi przez swe stalowe armaty nowego systemu mieli wyższość nad Austryacką armią zaopatrzoną tylko w dawne działa spiżowe, w r. 1866 austryackie dawne karabiny nie mogły się skutecznie mierzyć z pruskiemi odtylcówkami, i nierozumiem, jak mogli Austryacy, którzy z tym pruskim systemem ręcznej

broni mieli doskonałą sposobność zapoznać się, walcząc razem w Schlezwig-Holsztynie, nie skorzystać z tego, i nie zaprowadzić u siebie odpowiedniego systemu. Wreszcie w ostatniej wojnie prusko-francuzkiej, pruskie działa Kruppa z kutej stali miały niezmierną wyższość nad francuzkiemi armatami z lanej stali, we wszystkich więc tych wojnach rozstrzygała przeważnie nierówność broni. Dopiero nasza wojna tem się odznacza, iż obie strony walczą bronią stojącą na równym stopniu wydoskonalenia, tak my jak i nieprzyjaciele nasi mamy karabiny jednakowego systemu Remingtona, a nasze działa Weedwortha z kutej stali nie ustępują Kruppom, nawet może są trochę lepsze od Kruppów. Miałem właśnie sposobność o tem się przekonać pod Pampeluną zkąd wczoraj wróciłem. Z fortu cernującego tę twierdzę kazałem rzucić kilka bomb do miasta, aby wypróbować nową bateryę, strzelono 6 razy i wszystkie pociski padły tam, gdzie były wysłane, odpowiedziano nam na nie Kruppem z Pampeluny, i bomby nieprzyjacielskie padały przed nami w odległości może.... jak dwa razy ten plac po którym chodzimy, nie dosięgając nas... Przeciwnicy moi chętnie zaprowadziliby także u siebie działa Weedwortha zamiast Kruppa, nie mogą jednak zrywać układów z Kruppem, bo biorą u niego na kredyt, a za Weedwortha trzeba płacić gotowemi pieniądzmi.

Dotychczas głównem dążeniem mojem było, żeby z ochotników moich, z *partidasów* zrobić regularną armię, dawniej oficerami robiło się pierwszych lepszych byle wiernych i zaufanych ludzi, bez względu na to czy posiadali dostateczną znajomość regularnej służby, teraz mam akademię wojskową, i szkółę inżynierską, i każdy musi przechodzić egzamina, w skutek czego wielu dawnych oficerów musiało ustąpić miejsca nowym, wyćwiczonym regulaminem wojskowym ... Obok tego jednak zamyślam o tem, żeby i partyzantki do której te górskie ludy szczególne mają uzdolnienie niezaniedbywać. Formuję więc na nowo t. z. Partidas, czyli bandy, wybierając do tego na dowódzców najtęższych starych żołnierzy prawdziwych Cabecillów, do których zupełne można mieć zaufanie. Takie oddziały wysełać będę za Ebro coraz dalej na południe, żeby nam w głąb kraju torowały drogę, i nie wątpię, że będą się one tam powiększać miejscowymi ochotnikami, tak że z tych

zawiązków z czasem większe powstaną korpusy, które rozszerzą bardzo nasz teren operacyjny. Organizacya takich oddziałów bardzo mię teraz zajmuje i wkrótce wysełać zacznę moich Cabecillów na południe, w głąb Valencyi i Castylii.... Cabecille podlegać będą ostremu rygorowi prawa, i gdyby który w kraju, gdzie będzie wysłany śmiał dopuścić się jakich gwałtów lub rabunków, przezemnie samego ogłoszony będzie za prostego bandytę.... główną misyą tych drobnych oddziałów będzie, żeby stronnicy moi w głębi kraju, którzy tu przyjść nie śmią, mieli sposobność tam u siebie zaciągać się w moje szeregi, przyłączając się do Cabecilów.... tym sposobem mam nadzieję, że o wiele powiększy się moja armia i rozszerzy nasz zakres działania.... Czego nam największy brak nieraz czuć się daje, to pieniędzy, u nas sous więcej znaczy niż gdzie indziej louisdor, pomimo tego jednak wszystko, choć powoli, idzie naprzód i rozwija się dzięki ofiarności moich stronników i naszej oszczędności; właśnie przed kilkoma dniami były znowu u mnie deputacye ze wszystkich wiernych mi prowincyj, by mnie ponownie zapewnić, iż wszystko czem rozporządzają jest na moje usługi..... ta gotowość do największych ofiar i poświęceń, jaką wciąż widzę w koło siebie, najbardziej dodaje mi ducha, wiary i nadziei na przyszłość...... Przydałoby nam się także kilka dział wielkiego kalibru, i dużo więcej kawaleryi.....“

Gdy na to zauważyłem, iż nie sądziłem wcale żeby w tych górach wiele zrobić można kawaleryą, Don Karlos nie zważając że nie jestem fachowym żołnierzem, zaczął mi dowodzić długo i szeroko, jak błędnem jest w teraźniejszej taktyce wojennej rozpowszechnione mniemanie, że przy dzisiejszem wydoskonaleniu broni ręcznej i artyleryi, na nic się nie może przydać kawalerya, jak owszem i teraz niezmiernie ona może być pożyteczną jeśli kto nią tylko manewrować umie. Widocznie jest to jego ulubiony przedmiot, bo w długich wywodach i przykładach swoich, przyczem usłyszałem dużo niezrozumiałych mi wojskowych technicznych wyrazów, rozwinął przedemną wielką erudycyę i praktyczną znajomość sztuki wojennnej, której ja jednakowoż należycie ocenić nie umiałem, a która gdybym ją był zrozumiał niezawodnie by mię była przekonała, że i w górach nawet wiele pomódz może kawalerya;

„zresztą... kończył Don Karlos ze znaczącym uśmiechem... ja mam przecie nadzieję że nie zawsze będę tylko w tych górach.“ Wyraziłem mu to samo życzenie, żeby z tych gór na szersze pole wypłynął, a kiedym to mówił staliśmy właśnie na zakręcie drogi do Palacio. Don Karlos skinął na idących ciągle za nami gwardzistów, i mocno ścisnąwszy mię za rękę rzekł:

— Muszę już Pana pożegnać gdyż Hrabia Caserta czeka na mnie,... i wnet zniknął mi z oczu.

Podczas tej nocnej pogadanki z jednym bądź co bądź z najciekawszych ludzi naszego wieku, przy której wśród nieustannego opowiadania Don Karlosa przechodzącego wciąż z przedmiotu na przedmiot i wśród wytężonej uwagi z mojej strony mnóstwo przeróżnych obrazów i myśli przez głowę mi się przesunęło, ani spostrzegłem że i muzyka grać przestała i światła pogasły i plac się prawie wypróżnił. Była już późna godzina, pospieszyłem więc czemprędzej do mieszkania p. Olozabala, gdzie już moje rzeczy były złożone i skąd niebawem mieliśmy wyjechać.

Jakoż za godzinę byłem w drodze, sam, Pan Olozabal wysłał mię naprzód swoim powozem, a sam miał mię konno dogonić nazajutrz około południa w Alsasua, na pół drogi do Tolosy.

Nigdzie myśli tak dobrze nie płyną jak w drodze, wśród jednostajnego turkotu powozu, zwłaszcza w nocy, gdy ciemno w około a tylko wyobraźnia ma otwarte oczy. Toteż nim dojechałem do Alsasua miałem czas rekapitulować sobie w myśli wszystko co widziałem i słyszałem w Estelli i Hirache, a mianowicie wrażenie z ostatniego spotkania się z Don Karlosem. Redaktor berlińskiego dziennika *Germanii* p. Józef Cremer który przed rokiem podobnie jak ja kilkanaście dni spędził między Karlistami i miał sposobność pięć razy, długo rozmawiać z Don Karlosem, zcharakteryzował te rozmowy (w broszurze swojej *Aus dem Karlistenlager)* w następujący sposób: „Przy pierwszej audyencyi poznałem w Don Karlosie *króla,* przy drugiem spotkaniu człowieka wielkiego świata, wykwintnego *szlachcica,* w trzeciej rozmowie poznałem w nim *polityka,* w następnej *człowieka* współczującego żywo ze wszystkiem co ludzkie, w ostatniej zaś pogadance wieczornej przed moim odjazdem, która się aż późno w noc przeciągnęła po-

znałem samego Don Karlosa w całej pełni jego miłej i szlachetnej osobistości.“ Mnie zaś przedstawił się Don Karlos w tem jedynem mojem dłuższem zetknięciu się z nim osobistem przedewszystkiem innem jako *żołnierz* zamiłowany w swojem wojennem rzemiośle i traktujący go jako szlachetną sztukę, jeśli tylko prowadzi do wielkich i szlachetnych celów.

W Alsasua długo czekałem na p Olozabala, już myślałem że mu się może co złego przytrafiło, zdążył dopiero nad wieczorem, przez co w Tolosie stanęliśmy zaledwie o pierwszej w nocy a o piątej rano już byliśmy w drodze do Andoain. Snać było już zapisane w gwiazdach, żebym nie zwiedził Tolosy, bo znowu tylko nocą przez nią przejechałem. W Andoain trzeba się było pożegnać z powozem, co było tem przykrzejszem, że deszcz lał od rana jak z cebra.

Straszną mieliśmy przeprawę przez Pyreney z Andoain do granicy francuzkiej. Zaledwie znaleźliśmy dwa muły, trzeba więc było na nich jechać siedząc zamiast w siodle na własnych bagażach jak na wielbłądzim garbie. Do tego wszystkie żywioły tego dnia przeciw nam się sprzysięgły. Ziemia oślizgła od deszczu, ścieżki pyrenejskie przykro wijące się po nad przepaście w górę to znów jeszcze przykrzej spadające na dół zdają się czychać tylko na zgubę człowieka, muły nasze ślizgały się po mokrych kamieniach, potykając się co chwila czasem nawet padając na kolana. Woda lała nam się za kołnierz w strugach rzęsistego deszczu, wicher dął zwłaszcza na wysokich pozycyach, tak iż zdawało się czasem, że nas zmiecie z góry wraz z mułami; a kiedyśmy zajechali na popas (znowu do tej samej Fagodiagi, gdzieśmy już tam jadąc także się zatrzymywali), i osuszywszy się jako tako razem z jakimś oficerem przy obiedzie wesoło gwarząc radzili nad sposobami zdobycia Hernani, robi się hałas w karczmie, wreszcie dym czuć się daje, co się stało! zajęło się w kominie i już dach wewnątrz zaczął się palić nad nami. Wybiegliśmy wszyscy na strych, pan Olozabal zaraz objął komendę w tak stanowczej chwili, i wnet pożar ugaszono. Dość że ziemia i woda, powietrze i ogień wszystko nas tego dnia prześladowało, a do tego jeszcze nieustanny huk armat towarzyszył nam przez całą drogę, bo właśnie bombardowano w pobliżu dwa miasta, Her-

nani i San-Sebastian, ta muzyka jednak jeszcze ze wszystkiego była najmniej przykra, owszem, nawet dodawała nam animuszu.

Gdyśmy się zbliżali do Oyarzun, zapytałem pana Olozabala czy znowu będziemy przejeżdżać po pod samą cytadelę nieprzyjacielską jak poprzednim razem.

— Możemy śmiało jechać prosto, odpowiedział, bo ktoby tam do nas strzelał na taką słotę.

W istocie deszcz był tak gęsty, przytem taka mgła zaległa góry i doliny, że po za tą zasłoną mogliśmy bezpiecznie przesuwać się pomiędzy nieprzyjacielskie forty, przez co bardzo skróciliśmy sobie drogę. Od Oyarzun wzięliśmy się wprost na północ ku morzu, bo nie przez Verę, tylko o dużo bliżej ujścia Bidassoy mieliśmy przejść granicę francuzką w Lastaoli koło Béhobie, gdzie jest komora w rękach karlistów. Za Oyarzun w tym kierunku na północ już tylko jedna góra dzieliła nas od Francyi, ale przez tę górę przeprawa trwała przeszło cztery godziny. Pod wieczór właśnie kiedy dojeżdżaliśmy do najwyższego punktu, wypogodziło się nieco, nawet słońce się, jak to mówią, obejrzało, i ta chwila wynagrodziła mi wszystkie trudy i przykrości dnia tego, bo z grzbietu góry ukazało nam się w około przecudowne panorama na Francyę Hiszpanię i Ocean biskajskiej zatoki. Nie wiem czy jest gdzie drugie takie miejsce na świecie, w któremby tak wszystkie cuda ogromu natury skupiły się jakby w jedno ognisko, by od razu się przedstawić zdumionemu oku. Spojrzysz na wschód lub na północ, nie widzisz nic prócz niebotycznych gór i skał szczytów, nic prócz dzikich przepaści i spadających w nie białych wód potoków... jesteś zda ci się gdzieś głęboko w Pyreneach; — lecz jakiś szum jednostajny dolatuje cię z przeciwnej strony, czy to także szum górskich potoków?... odwracasz się na zachód spojrzysz na północ i wnet zapomnisz o górach, które stoją cicho tuż za tobą, bo teraz jak daleko okiem sięgniesz nic tylko siny ocean porywa wzrok twój w bezgraniczną przestrzeń. Nic wspanialszego jak patrzeć na to bezpośrednie zetknięcie się olbrzymów gór z olbrzymem oceanem w samym kąciku biskajskiej zatoki, gdzie z fali morskiej prawie od razu wyrastają Pyreneje wysokości naszych Tatrów.

Od tego miejsca szliśmy już piechotą ciągle na dół ku dolinie Bidassoy, gdzie jak na dłoni widziałem znane mi już dobrze Irun, Fuentarabię, Hendaye, Behobie i mnóstwo innych wsi i miasteczek na francuzkiej stronie, bo wzrok nasz sięgał aż do Biarrits, zkąd latarnia morska, gdy się zciemniło, świeciła nam jak gwiazda na niebie.... z jakąż radością tę gwiazdę witałem, stokroć milszą była mi od gwiazd prawdziwych, jako zwiastunka obiecanej ziemi, gdzie niebawem spocząć miałem po trudach dziesięciodniowej hiszpańskiej wyprawy.

Już było całkiem ciemno, gdyśmy sami we dwóch z p. Olozabalem dochodzili do granicy francuzkiej, muły z poganiaczami daleko w tyle zostały za nami, i nawet inną dalszą drogą zdążały do Lastaoli, a my tymczasem idąc prosto na dół, co moment spotykaliśmy karlistowskie pikiety, bo w tem miejscu granica przez Karlistów bardzo silnie jest obsadzona, jestto bowiem klucz do Very. Stój kto idzie! wołały na nas warty co kilkadziesiąt kroków. *Carlos settimo!* odpowiadał p. Olozabal i zbliżał się do żołnierzy i rozmawiał z niemi. Dając parol co chwila doszliśmy wreszcie do Lastaoli, gdzie na komorze obecni oficerowie i żołnierze z zadością witali mego towarzysza. Zasiedliśmy w kilkunastu przy dużym stole i krzepiąc się jadłem i winem, czekaliśmy na muły, które niebawem nadeszły; była to moja ostatnia wieczerza w wesołem gronie Karlistów, serdeczne było moje z nimi pożegnanie, mianowicie z p. Olozabalem, którego mi prawdziwie chyba Opatrzność sama wybrała w tym tak obcym dla mnie kraju na Mentora, bo niewiem czy w całej Hiszpanii można było wybrać lepszego jak *Don Tirso.*

Opuściłem Hiszpanią z uczuciem jakbym ją był pożegnał na zawsze lub na bardzo długo, tymczasem zdarzyło się, że za parę dni byłem znowu po raz trzeci, w jej granicach. W Biarrits zastałem zwiększone grono polskich gości kilkoma młodemi Damami pierwszych w Polsce imion z krakowskiego towarzystwa. Otóż czego nie dokażą Panie! Przyprawiły mnie o szkaradną zdradę, bo zaledwie wróciłem z obozu Don Karlosa zaprosiły mię na wycieczkę, która zawiodła mię do obozu Don Alfonsa, tak iż znalazłem się wnet w Alfonsistowskim forcie zkąd patrzeć musiałem jak strzelano z armat do Karlistów.

Zaprojektowano zwykłą przejażdżkę z Biarrits do Irun i Fuentarabii, by zwiedzić czarujące brzegi Bidassoy. W oznaczonym dniu wyjechaliśmy w południe koleją wprost do Hendaye w towarzystwie czterech Dam i nas było czterech. Dowódzcą naszym był p. R. ten sam, który mię był wyprawił do Estelli, opiekunem wspólny nas wszystkich przyjaciel najstarszy wiekiem i doświadczeniem. Już na dworcu w Hendaye usłyszeliśmy bliski huk armat a nawet widzieć można było po wznoszącym się dymie, z których fortów strzelano za Irunem, na przeciwległym brzegu Bidassoy, prócz tego zaś akompaniował działom prym trzymającym nieustanny ogień tyralierski za najbliższą górą. Pomimo wszystkich wytężeń wzroku i pomocy lunet nie widzieliśmy walczących, ale słyszeliśmy tuż blisko bitwę z całą jej orkiestrą. Czemprędzej przeprawiliśmy się przez Bidassoę do Irun i zaopatrzeni jak najlepszą rekomendacyą hiszpańskiego konsula z Bayonny weszliśmy bez żadnych trudności do miasta. Główny plac zapełniony był mnóstwem wojska, naturalnie Alfonsistów, żołnierzy i oficerów, ale jakby nic ich nieobchodziła nieustająca w pobliżu kanonada i fusilada, spacerowali wolno, rozmawiali w grupach, czytali gazety. Nie zważano też wiele i na nas, przeszliśmy przez całe miasto aż do drugiej bramy poza którą najmłodsi państwo z naszego towarzystwa naprzód się puścili, a my szliśmy za niemi, niewiedząc dobrze gdzie idziemy. Za miastem spotkaliśmy się niedługo wszyscy na najbliższym pagórku tuż koło Iruńskiego fortu gdzie było kilka armat i kilkudziesięciu żołnierzy. Z tego pagórka wytężaliśmy wzrok nasz w kierunku słyszanych strzałów, i wnet wywiązała się z tego żwawa dyskusya, jedni twierdzili, że widzą atakujących, inni stanowczo temu przeczyli, mówiąc że nic nie widzą, wyrywano sobie nawzajem najlepszą lunetę, ale i ta broń nie wiele pomogła do zakończenia sporu, czy widać co czy nic nie widać prócz dymu. Wreszcie na wał fortu przy którym staliśmy wyszedł oficer i widocznie do nas zwracał jakąś przemowę. Dorozumieliśmy się wreszcie, iż chciał uprzedzić nasze Panie, że z fortu przy którym stoimy padnie zaraz strzał armatni, żeby to dla nas nie było niespodzianką. Nasze Damy z radością przyjęły tę nowinę, bo gdzież się to drugi raz zdarzyć może, żeby Panie prawie tak jak asystując bitwie mogły być

przy armacie ogniem ziejącej... a nie są to zwykłe nerwowe panie naszego wieku, to też gdy wkrótce padł gromowy strzał i dał się słyszeć świst i jęk ulatującej bomby, odpowiedziały nań okrzykiem radości i żywemi oklaskami go przyjęły.... bez których ten okrzyk mógłby był łatwo kto złośliwy wziąść za dowód przestrachu.

Strzał armatni jest to jak wyrzeczone stanowcze słowo, na które koniecznie oczekuje się równie stanowczej odpowiedzi. Wszyscy mieliśmy to samo uczucie, to też zaczęliśmy na mocy karty od konzula z Bayonny parlamentować z oficerem, żeby nas wpuścił w obręb fortyfikacyj, bo jużciż przyjemniej czekać na tę odpowiedź w zamkniętym forcie aniżeli na otwartem polu. Oficer przystał zaraz na naszą propozycyę, spuszczono pomost i weszliśmy wszyscy do szczupłego dosyć fortu, zkąd dalej z działa strzelano, niewidać jednak było tych Karlistów do których te bomby adresowano, gdyż byli za górą i kule miały padać na nich przez elewacyą, wątpię jednak, żeby im tam jaką szkodę wyrządziły, odpowiedzi zaś żadnej z ich strony aż do nas nie było, gdyż atakowali tylko ręczną bronią jakąś pozycyę za górą, która nas od karabinowych strzałów zasłaniała. O gdyby Karliści byli choć trochę domyślni! powinni byli uderzyć całą siłą na tą cytadelę gdzie nas wpuszczono z naszemi Damami, bo gdzież w całej Hiszpanii była w owej chwili świetniejsza pozycya do zdobycia?! Wkrótce po nas przyszedł do Fortu komendant z miasta, jakiś weteran o lasce, i widocznie brał z góry oficera za to że nas wpuścił, oficer zasłonił się naszą kartą od Konzula z Bayonny przed komendantem, a my tymczasem mając już dosyć tej kampanii po paru strzałach armatnich poprosiliśmy żeby nas wypuszczono i wróciliśmy do Irun, niemogąc sobie dobrze zdać sprawy czyśmy byli na wojnie, czy tylko na wspaniałem miłą emocyę sprawiającem widowisku wśród prześlicznej sceneryi pyrenejskiej okolicy.

Gorszą nierównie, niebezpieczniejszą mieliśmy awanturę na Bidasoy wsiedliśmy wszyscy pod Irunem na łódkę z jednym wioślarzem, by z biegiem rzeki popłynąć do Fuentarabii, nie zważając wiele na to, że z poza górzystych brzegów od zachodu czarne nadciągały chmury. Zaledwie odpłynęliśmy od brzegu, straszna napadła nas burza z ulewnym deszczem i hura-

ganem. Prąd rzeki przy samem ujściu do morza już, już porywał nas z sobą, biedny wioślarz zaledwie mógł dać sobie radę z nacierającemi bałwanami, przyszedł mu w pomoc drugiem wiosłem i silnem ramieniem jeden z naszych towarzyszy i tak jakoś z Bożą pomocą wyszliśmy z niebezpieczeństwa, które choć wszyscy czuli i widzieli i nawet niektórzy z nas byli już gotowi skakać w wodę, nikt jednak z tem się nie zdradzał i zachowano zimną krew, nawet doskonały humor aż do końca, a przemoknięci byliśmy do nitki, bo wicher i ulewa urągały naszym okryciom i parasolom. Przybiliśmy nareszcie do brzegu pod Fuentarabią nie w przystani, tylko gdzie można było najbliżej, i podobni raczej do gromady rozbitków po przymusowej kąpieli morskiej, niż do grona turystów już pod sam wieczór weszliśmy do miasta.

Jakże smutno wyglądała Fuentarabia, przemoknięta jak my, strugi wody lały się z szerokich okapów dachowych jak z naszych parasoli, do tego jeszcze jakaś złowroga panowała tam atmosfera i ruch niezwykły, dzwon alarmowy bił jednostajnie grobowe tony, garstki żołnierzy przebiegały ulicę, bramę miasta wkrótce zamknięto za nami. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, dopiero później doszła nas wiadomość, iż właśnie w tej samej chwili kiedy weszliśmy za bramę Karliści korzystając zapewne z zamętu burzy napadli na dom gry tuż pod Fuentarabią, zabrali bank, rozpędzili graczy, a więc i miasto obawiało się inwazyi.

Pomimo opłakanego a właściwie opłukanego stanu naszego, choć już było prawie całkiem ciemno, weszliśmy najprzód do kościoła, niby to dla zwiedzenia, ale ręczę, że każda z pań jak i każdy z nas zmówił najprzód gorące *Ave Maria* na podziękowanie, żeśmy szczęśliwie wypłynęli z niebezpieczeństwa i na uproszenie dalszej opieki, bo jeszcze raz mieliśmy przebywać Bidasoę i to wśród ciemnej nocy. Z kościoła p. R. zaprowadził nas do znajomej sobje *Fondy*, aby się Panie trochę osuszyć mogły. Humor nasz dotychczas nie ustał ani na chwilę podniósł się jeszcze o cały diapazon, wzłaszcza gdy „piękna Hiszpanka“ pełna „wdzięku i uroku“ przyniosła nam butelkę wybornej malagi i bochenek hiszpańskiego chleba. Wnet wszyscy razem zasiedliśmy za stołem, były toasty, mówki, żarty i śmiechy bez końca, które przerwała dopiero złowroga wia-

domość, iż bramy miasta już zamknięte i że gotowiśmy być zmuszeni przenocować we Funtarabii. Wyszliśmy więc zaraz na ulicę, i już nie wiem jakim cudem otwarły się dla nas ciężkiej bramy wrzeciądze, jakieś magiczne słowo rozwarło ten Sezam przed nami. W przystani czekała na nas łódź już teraz z trzema wioślarzami, i przy tej przeprawie na drugi brzeg do Hendaye, mieliśmy znowu tę nową całkiem nie doznaną jeszcze tego dnia przyjemność, żeśmy osiedli na mieliźnie, bo morze tymczasem odpłynęło. Wioślarze więc musieli wskoczyć do wody, i całą siłą ciągnąć i pchać łódź rękami, zanim wreszcie na mokrej łodzi, jakby to była wenecka gondola, wśród śpiewów po raz ostatni zawinęliśmy szczęśliwie do portu.

Tym razem już bezpowrotnie opuściłem brzegi Bidossoy, burzą pożegnała mię Hiszpania, straszną burzą żywiołów i burzą wojenną, z którą w tym dniu w tak niezwykłem otoczeniu a tak z bliska się zetknąłem. Burzą także pożegnał mię ocean, przez trzy dni moje ostatnie spędzone w Biarrits, huragan prawie nieustawał, morze pieniło się i gotowało piętrząc jedne na drugich bałwany jakby najwyższe gmachy, które rozbijając się o podwodne szkopuły i nadbrzeżne skały, olbrzymie wodotryski w pochmurne niebo rzucały.

Wiedzieli nadbrzeżni mieszkańcy obeznani z pulsem życia oceanu, że ta wspaniała i straszna lecz w gruncie rzeczy mało komu szkodliwa walka żywiołów nie potrwa długo i że ocean ziemi nie zaleje... ale czy tam za Pyreneami, ta druga walka nie martwych żywiołów, lecz ludzkich namiętności najnajgłębszych i najżywszych prawd i interesów prędko ustanie? i jak się zakończy?.. czy tam ocean fałszu całej ziemi nie zaleje? tego nie wiedziano, ale też i nieprzewidywano... i ja nie przewidywałem. Zresztą sympatya moja do Karlistów, jakiej nabrałem przez 10-dniowe z nimi obcowanie nie zawisła od tego czy ich sprawa wygra czyli też przemocy ulegnie, bo nic tak nie odpowiada memu dla tej sprawy uczuciu jak słowa Don Karlosa, z któremi wszedł do Hiszpanii: „choć się nie uda, zawsze to będzie poemat.“

Ign. Skrochowski.